

TYGODNIK ILLUSTROWANY



GÓRNICY

Z Salonu S. Kulikowskiego

ST. BAGIEŃSKI

OR - OT :

GÓRNICY.

W podziemnym lochu widma się snują...
 W podziemnym lochu górnicy kują..
 Kują górnicy niezłomne skały,
 Co na świat drogę pozamykały.
 W jaskini pustka straszna i dzika,
 Nie widać znikąd słońca promyka,
 I tylko głucho kilofów bicia
 Są jakby tętnem górników życia.

Ach, od lat tyłu i dniem, i nocą
 Ciężkie oskardy o skałę grzmocą,
 Pragną wyrąbać okno do słońca,
 Skąd buchnie jasność ożywiająca,
 Pragną górnicy wyrzecz z pod ziemi,
 Aby odetchnąć pierśmi pełnemi

I skruszyć skałę, i wyjść z jaskini
 Na świat otwarty, gdzie dzień się czyni.

W czeluściach lochu coś się tam bieli,
 To idą widma tych, co zginęli,
 Idą posępni z młotami w dłoniach,
 Z grozą w źrenicach i krwią na skroniach,
 Przez noce czarne, przez dni ofiarne
 Życie im długie poszło na marne,
 I do tej zorzy, co się hen pali,
 Okna jaskini nie wyrąbali.

Ale żyjący, dumnie i śmiało,
 Rozpaczną walkę toczą ze skałą,

Z głową odkrytą i piersią nagą,
 Biją o granit z górną odwagą,
 Skalne odłamy żelazna ręka
 Toczy, rwie, szarpie, aż więzień pęka,
 I nagle dłonie opadły drżące,
 I złotą strugą buchnęło słońce!

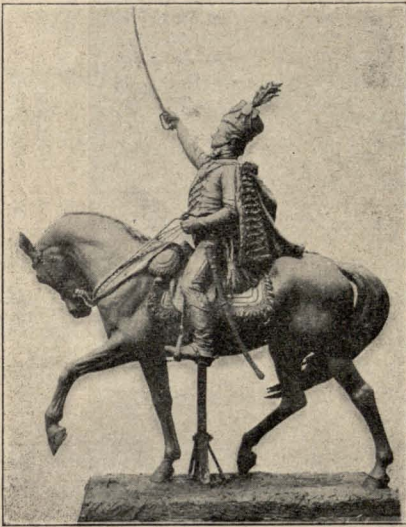
Przez otwór w skale z nieba modrego
 Jasne promienie do lochu biegą,
 W ich złotem świetle górników lica
 Jakaś nadziemski rozkosz zachwycą,
 W oczekiwanej godzinie cudu
 Nie widać w twarzach krwawego trudu,
 I tylko oczy patrzą pragnące
 W to słońce, słońce, poranne słońce!

IGNACY GRABOWSKI

Patologia niewoli

I. ROZPACZ.

W krwawych czteroletnich zapasach Konfederacji Barskiej, w odwadze męskiej, w poświęceniach zupełnych życia i mienia umarł był byt niezależny Rzeczypospolitej polskiej. Lud szlachecki, swobód swoich i przywilejów i państwa jedyny defensor, nie miał być dość siły, aby obronić swoje gospodarstwo. Bar był pieczęcią historyczną Starej Polski. Pieczęcią rubinową, koloru krwi, wyłanej za ojczyznę, a odcisnął ją na pergaminie dziejowym „ostatni“ szlachcic, Kazimierz Pułaski.



Pomnik Kazimierza Pułaskiego w Waszyngtonie.

Ten posąg szalonego i desperatem mianowanego konfederaty w Savannah, na miejscu jego śmierci pod gwiazdzistym sztandarem Unii Amerykańskiej postawiony, jest dla nas, Polaków XX stulecia, świadectwem bez porównania i bez ceny. Pułaski nie czuł w sobie męczennika, nie grał żadnej udanej roli, namiętnie kochał i nienawidził, a gdy zrozumiał, że żadne domostwo w Polsce, rządzonej przez Repnina lub Wołkońskiego, nie może pomieścić jego duszy, uszedł do Ameryki, gdzie na szczytach walki o wolność zyskał był pomnik. Dzisiaj po stu czterdziestu blisko latach staje mu przed obliczem chłop polski, wychodźca, poszukujący bytu i powietrza na obcych łąkach, a dowiedziawszy się, kogo ma przed sobą, rad nie rad poddaje się myślom. Zaczynają rozumieć siebie wzajem dwaj ludzie: człowiek ducha niepokonanego i człowiek, dźwigający ciężary, ponieważ obydwoj czują swe zasługi. Któryż z mężów stanu XVIII stulecia przewidział był takie spotkanie?

Pokażcież mi, czy wielu jest dzisiaj Polaków, którzy w jednym obrazie ogarniają tysiąc lat dziejów swoich—nie przez okulary najuczestniejszych choćby historyków, z których każdy niemal broni swego *punctum saliens*, a każda para oczu jest inna, lecz iskrą czucia, zdolnego zmierzyć bez chyby swe siły i słabość, przymioty i wady, prawdziwość wątplenia czy nadziei, słowem, swoją wartość? Jeżeli ktoś zarzuci, że mówię, jak puస్తosłowy poeta, jak piekarz starego ciasta

romantycznego, odpowiadam, że właśnie całą siłą przekonania występuję przeciwko fałszowaniu rzeczywistości. A rzeczywistość najważniejsza, konieczna, którą obowiązani są znać na pamięć wszyscy członkowie narodu, mającego pretensje, aby był wolnym i rządził się sam sobą, jest taka: mieć szczerą wolę czynu. Nic więcej, ale ten wyraz „szczerą” jest wszystkim. Posiada siłę i wyrzut prochu wszechwórczego i wszechniszczącego. Mam wrażenie, że wielu z rodaków moich posiada już duszę kosmopolityczną, a stąd li tylko do handlowania patryotyzmem zdolną. Zupełnie tak samo jak Żydzi, których jako naród utrzymuje odrębny obrządek. Ale biada narodom, które stoją nie swoistym gatunkiem energii twórczej, lecz różnicą dogmatów. Historia świata pośród swych trzęsień rządzi nimi, jak padliną, jak mierzwą dla kultury żywych ludów.

Nie zrozumieją mnie ani kosmopolityczni komiwojażerzy po wszech europejskich szynach, ani faktorzy i strzęzcyciele wszelkich herostratesowych pomyłek, jakie kiedykolwiek podpały i podpalają świątynie Dyany. Piszę te słowa jedynie dla tych, co mają żywiołowe poczucie polskości, oparte na organicznym przedświadczeniu, że polskość, jako gatunek energii twórczej, posiada taką samą rację kosmiczną do zajęcia miejsca w cywilizowanym sejmie narodów, jak francuskość, angielskość, niemieckość. Sam fakt istnienia jakiegoś gatunku autropologiczno-etnicznego nie rozstrzyga jeszcze o zdolności cywilizowania się; są ludy, które muszą wymrzeć albo zmienić przez związki krwi gatunek swej plazmy. Piętno historyczne, polskość jest kolorem tak swoistym, tak silnym, że w warunkach najcięższych, pośród innych barw, rzucających na nią najfatalniejsze cienie, występuje jako forma nie do zatarcia, a jeżeli myśleć w sensie teleologicznym,—i dla równowagi wszechświata potrzebna. Przeszacowujemy pojęć, „szlachcic polski”, Fryderyk Nietzsche, o krwi po wielokroć germanizowanej, rozumie najlepiej, a za nim wszystko, co jest „drożdżami”, przyszłością świata, wartość pierwiastku polskiego, przez filtry Wielkiej Grecji, Wielkiego Rzymu i Wielkiego Okcydentu przepuszczonego. Tylko trzeba tłuc wyrazy puste, z czarnem próchenkiem w środku: to, co zwie się dzisiaj szlachtą polską jest kosmopolitycznie z histerją, a epilepsyą patryotyczną o niegroźnych zresztą dla zdrowia objawach; ziarna polskości, jak ją pojmuje Słowacki i Nietzsche, spoczywają w świeżych sercach i mózgach ludu, a brak im jedynie słońca i ciepła, aby się zazieleniły.

Możemy spojrzeć okiem spokojnym na historię upadku, na dzieje tyfusu politycznego—jak ludzie cierpliwi i pewni, że nas w biesiadzie ludzkości udział nie minie.

Owszem, patrzmy na tę czarną przepaść, jaka rozwarła się po Barze, i hartujmy się, jak w ogniu żelazo. Widzimy w czeluści kotłujące się i na dno padające sto pięćdziesiąt lat usiłowań zbrojnych i pokojowych, legalnych i nielegalnych, porządkowych i anarchistycznych, konstytucyjnych i dyktatorskich, z Napoleonem i bez Napoleona, widzimy piekło dantejskie słabości, zmagających się z siłą. Przypatrzmy się z serdeczną uwagą tym uczuciom, jakie wylądź się musiały po

katastrofie dziejowej, która spadła już oczywiście w 1773, ale zrozumiano ją dopiero należycie w 1795.

Pierwsze z tych uczuć—rozpacz. Gdy się z pod nóg usuwa ziemia. Trzęsienie, walące w gruzy. Tłukący deszcz kamienny. Robaki tęsknoty, rozłazące się po krwi. Ślepa nienawiść z krwawymi oczyma. Głupstwo, lęgnące się z nieszczęścia. Zaciekły upór, spalający się w popioły.

Popioły! Nikt w obrazach cudowniejszych głębokością bólu, a piękniejszych rozpętaniami wyobraźni pozbawionego słonecznych rozkoszy więźnia nie pokazał ludziom rozpacz epoki porzoborowej nad Żeromskiego. Rafał, Cedro, Gintuł, ów kapitan Polak, oficer armii francuskiej, zaszytletowany przez gerylasa za najście Hiszpanii, adjutant Bonapartego Sułkowski, geniusz, skazany na nicłość! Pokolenia młodzieży świetnej, hardej, nieustraszonej, która wyrokiem epoki musiała być ginąć na pobojuwiskach Europy, Afryki i Ameryki. Ci legionieści wybrali byli jeszcze najlepszą część; mieli upojenia wielkości, muskał ich lot orłów austerlickich. Tym, którzy po nich przyszli, w odmiennych warunkach, doła była gorzka w kazamatach, szlakiem rozpacz szła śmierć i siekła bez miłosierdzia.

Obok rozpacz, uzbrojonej w karabin i lancę, a objawionej w czynie, grającym o życie i śmierć, narodziła się rozpacz ludzi ziemniejszych, refleksyjniejszych, sofistów, dyplomatów, myślicieli, poetów. I nigdzie w Europie, w żadnych innych mózgach fala romantyzmu nie znalazła bałwochwalców bezwzględniejszych, niż w Polakach porzoborowych. Ta odtrutka na pochłonięcie indywiduum przez trudno rozprężalne formy społeczne, ta wolna miłość ducha do poprawienia bezmiłosnych, całkiem sformalizowanych związków na gruncie rozpacz i tęsknoty za ojczyzną wyrosła w całkiem nowoczesne polskie Apokalipsy, w objawieniach co do szczególnego posłannictwa Polski, w paroksyzmy wiary w cuda. Ale nieszczęście narodom, które czerpią wodę w źródłach Apokalips! Żaden Tytus nie wstrzyma swych legionów przed sancta sanctorum na zakęcie zabobonu. Kto usiłuje pogardzać rzeczywistością, temu fala rzeczywistości podmywa fundamenty, na których się oparł, burzy je i wciąga w bezdeń morza—na pomieszanie elementów.

Manfred, jako Prometeida, krzesze iskry z surowych i lodowatych polan, a pomaga mu parobek, fumulus, knecht — Faust; coby przy nich robić mogli Gustaw-Konrad i Anhelli—nie wiem? Ale wiem, że miałyby tam co robić Beniowski i Król-Duch.

Na słoneczne lice starej Polski, na jowiszowy tren Kochanowskiego, pięknością i głębokością bezprzykładny, sływa morfina romantyczna. Łagodzi ból, uspokaja, niektórych nawet paraliżuje na śmierć. Jest eliksirem rozpacz.

Sączy się tylko ludziom górnym, zindywidualizowanym, przez cywilizację utlenionym.

U dołu—mury granitu i rud macierzystych—bez światła, nieruchome i surowe. Są w bezpowietrznym letargu. Nie sięga ich ból ni rozpacz; czekają na rozkop i odskopienie w niezużytej energii.

WNĘTRZE KOŚCIOŁA
OO. REFORMATÓW
W WARSZAWIE



Z Salonu T. Z. S. P.
(Wyst. specjalna)

MARCIN ZALESKI

H. PIĄTKOWSKI

Malarz przeszłości, w mury zaklętej. *)

W doskonałym odczuciu i zrozumieniu celów kulturalnych, jakie ma do przeprowadzenia instytucja, sztuce służąca, obecny komitet Towarzystwa Zachęty zapoczątkował szereg wystaw retrospektywnych, z których każda

poświęcona będzie działalności bądź jednego artysty, bądź całej ich grupy, pewną epokę charakteryzującą. W ten sposób publiczność, obok współczesnej twórczości, będzie miała od czasu do czasu przed



MARCIN ZALESKI

oczyna dorobek minionych już epok, w doborowych dziełach wybitnych mistrzów, co umożliwi szerszemu ogółowi zapoznanie się bliższe z historycznym rozwojem malarstwa polskiego i dopomoże do orientowania się łatwiejszego w etapach jego pochodzenia

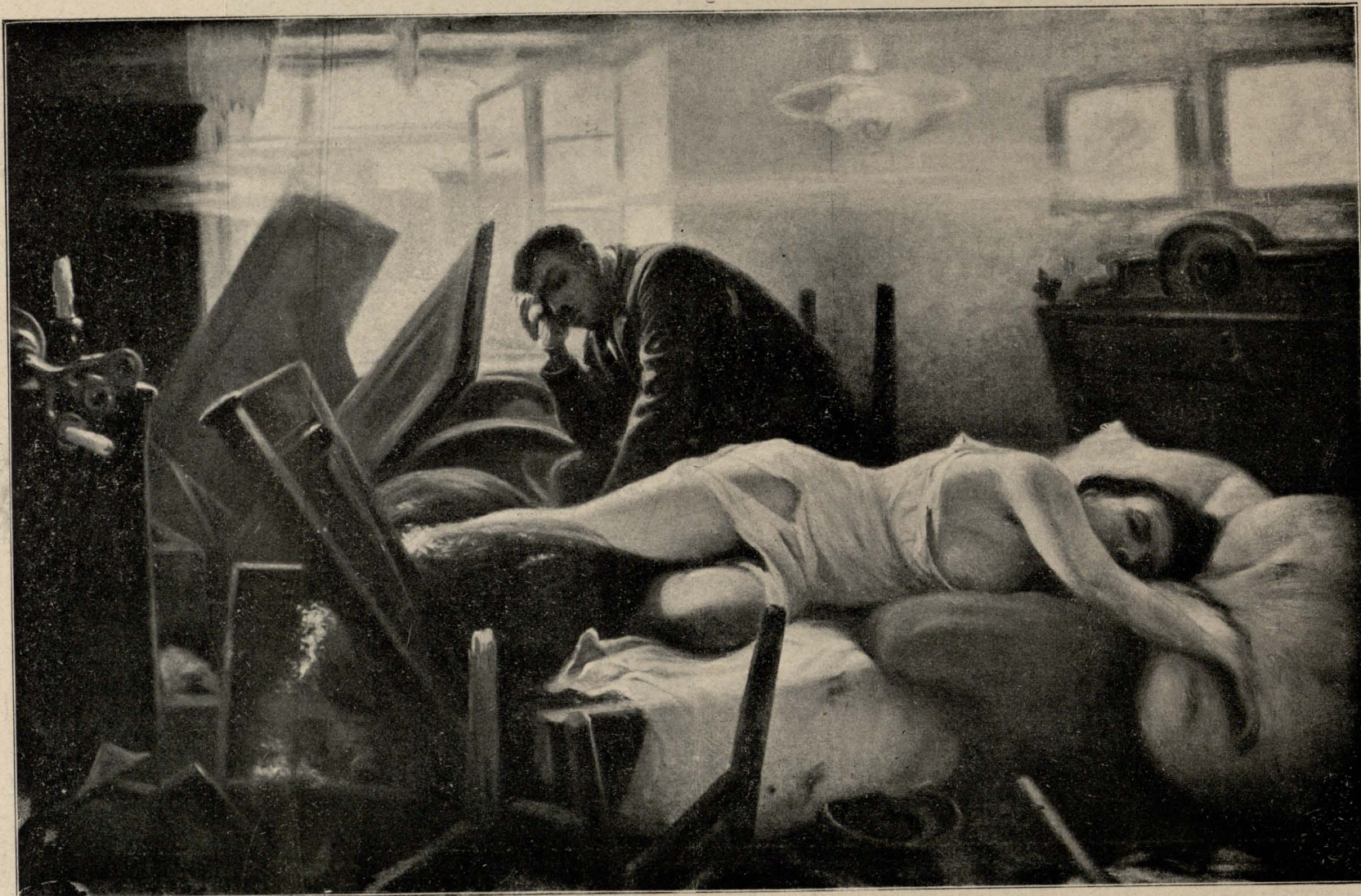
*) Z powodu wystawy obrazów M. Zaleskiego * 1796 † 1877.

jowego. Otwarta przed paru dniami w jednej z bocznych sal gmachu Tow. Zachęty zbiorowa wystawa prac Marcina Zaleskiego jest pierwszą z szeregu zaprojektowanych ekspozycji. Poświęcono ją malarzowi, którego działalność zapełniła półwieki z górą okres, sięgający swym początkiem 1821 r., a zakończony 1877 rokiem i datą śmierci znakomitego artysty. W historii sztuki polskiej Zaleski posiada piękną kartę, gdyż pierwszy wprowadził do niej rodzaj, nieznan dotąd w utworach malarzy polskich. Poświęciwszy się malarstwu architektonicznemu, opartemu przeważnie na perspektywie linearnej, zajął miejsce, do jego czasów zajmowane przez sprowadzanych do nas cudzoziemców. I nie tylko że stworzył ten rodzaj na naszym gruncie, lecz siłą swego wrodzonego talentu i wiedzy zdobytej podniósł go tak wysoko, że dziełami swymi rywalizował z najznakomitszymi ówczesnymi przedstawicielami malarstwa architektonicznego w Europie. Twórczość Zaleskiego zasługuje na uznanie pod wielu względami. Pod względem malarzkim daje ona miarę pierwszorzędnej w swej specjalności talentu, który umiał w architektoniczne linie budowli, w sylwety ulic i placów wlać pierwiastek ożywczy, sztuki, którą potrafił uszlachetnić mało napozór obrazowe motywy piętnem wznioślejszego polotu, ożywić zimną w swej kamiennej nieruchomości dziedzinę technieniem szczerego zapału.

Nie mając bezpośrednich poprzedników, indywidualność zupełnie nowa na odłogach

ówczesnej sztuki naszej, Marcin Zaleski, kreując rodzaj, musiał wytworzyć swój styl własny, swój do pewnego stopnia światopogląd. Utwory Canaletiego, tak popularne w okresie, poprzedzającym pojawienie się Zaleskiego, ułatwiały mu nieco drogę—nie przeczę—lecz o ileż prace naszego artysty są nam pokrewniejsze, jak znać na nich ślady nowszych pojęć, jaki znaczą krok naprzód. W swoich pięknych wnętrzach kościelnych jakże on już daleki jest od Bellota, jak odczuwa nastrój wewnętrzny, duchowy atmosfery kościelnej, jak czysto artystycznym napięciem swych kreacji wyprzedza epokę nie tylko włoskiego mistrza, lecz i swą własną! I gdy Zaleski na naszym gruncie jest zupełną niespodzianką, w czterdzieści lat po jego pierwszych występach występujący Gryglewski ma już za sobą zadziergniętą nić tradycji, którą już śmiało może snuć dalej na pożytek sztuki polskiej.

Twórczość Zaleskiego zasługuje na nie mniejsze uznanie i pod względem historycznym. Malując z zamiłowaniem otaczającą go rzeczywistość, przeniósł na płótno i pozostawił na wieki plastyczny, żywy obraz zewnętrznego wyglądu Warszawy, Krakowa, Poznania i Wilna, w chwili gdy na nie patrzył. Prace te są dokumentami źródłowymi do poznania minionej, a oddzielonej od nas dziesiątkami lat epoki, dają nam nie tylko wygląd, lecz i wyraz ówczesnego życia, pozwalają odtwarzać sobie w umyśle gmachy i ulice, całe, często, miejskie krajobrazy, których obecnie i śladu już niema.



ROZBITKI

Z V „Salonu“ warszawskiego 1908 r.

JÓZEF RYSZKIEWICZ

Obrazy Zaleskiego mogą się znajdować tak samo w galeriach, sztuce poświęconych, jak i w muzeach miast—tu i tam na właściwym znajdują się miejscu.

Obok działalności malarskiej, długoletni profesor malarstwa architektonicznego i perspektywy, jakim był Zaleski, rozwijał na szeroką skalę swą działalność pedagogiczną. Wykształcił on kilka pokoleń malarzy, zacząwszy od słynnej w historii sztuki naszej plejady pierwszych uczniów założonej w 1844 r. szkoły sztuk pięknych, do których należeli: Gerson, Brodowski, Pillati, Gierdziejewski, Tegazzo, Kostrzewski i tylu innych, aż do generacji, uczęszczającej do klasy rysunkowej w roku 1868—roku, w którym otrzymał emeryturę. A i ta generacja może się poszczycić nazwiskami: Chełmońskiego, Kowalskiego, Wilhelma Kotarbińskiego, Szynclera, Czachórskiego.

Jeżeli po swej długoletniej karierze pedagogicznej, Zaleski nie pozostawił ani jednego godnego siebie w swej specjalności następcy, to winę przypisać należy nie profesorowi, lecz prądom, w sztuce panującym, które w innym kierunku rozwijały młode talenty. W każdym razie licznej drużynie malarzy, których zaznajamiał z zasadami perspektywy, potrafił on zasady tę zaszczerpić i ugruntować, dając swymi radami silną podwalinę do ich przyszłej kariery twórczej.

Rzeczywistym następcą Zaleskiego pozostanie w malarstwie naszym Aleksander Gryglewski. Dzieła Zaleskiego, rozproszone po całym obszarze naszego kraju, trudno było w większej ilości zgromadzić. Co się dało zebrać, przedstawia poważną co do wartości artystycznej całość. Warszawa pozna z bliska jednego z najznakomitszych swych ilustratorów,

BOLESŁAW PRUS:

O myśleniu naukowym.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Za pośrednictwem W. Kosiakiewicza, felietonisty *Słowa*, dr. St. Tarczyński poruszył kwestję: „utworzenia u nas Instytutu fizycznego dla potrzeb szkolnictwa i popularyzacji nauk doświadczalnych”. Ważny ten projekt gorąco poparł *Kuryer Warszawski* a nadto pomieścił parę artykułów, wyjaśniających i uzupełniających myśl dra Tarczyńskiego.

„Na początek — mówi dr T. — dla Instytutu fizycznego wystarczyłby jeden pokój, gdzie możnaby gromadzić przyrządy fizyczne. Pewną ich liczbę niezawodnie otrzymałoby się w darze od optyków, w zamian za godziwą reklamę. Z czasem powstałaby instytucja poważna i samodzielna, której zadaniem byłoby doświadczenia fizyczne, ilustrujące teorie. Nauczyciele fizyki przyprowadzaliby tu swoich uczniów, aby eksperymentem dowieść prawdziwości wykładów. Żadna wiedza publiczność sama wykonywałaby tu doświadczenia, według katalogu, który byłby podręcznikiem. Nareszcie wycieczki do takiego muzeum wprowadziłyby chłopców ze szkół niedzielnych na drogę samodzielną, gdzie później sami, własną praktyką, mogliby uzupełnić wiedzę teoretyczną”.

Więc instytut fizyczny, czy pracownia fizyczna, byłby to pewien rodzaj szkoły, w której ludzie chętni mogliby przypatrywać się zjawiskom fizycznym, poznawać odpowiednie narzędzia i—oswajając się z zajęciami, z doświadczeniami. Według mnie to „oswojenie”, ale

porządne, gruntowne, oswojenie publiczności z metodami badań fizycznych, i nie tylko oswojenie, ale—głębokie nasiąknięcie metodami nauk doświadczalnych stanowi dla naszego narodu sprawę pierwszorzędną.

— Ho!... ho!... — zawoła czytelnik — tych spraw „pierwszorzędnych dla narodu” coś u pana dobrodzieja za dużo. Prawie każdy tydzień przynosi jakąś sprawę pierwszorzędną...

Ma pan słuszność: spraw pierwszorzędnych u nas i nie u nas jest w rzeczy samej bardzo dużo. Zdrowie i długie życie mieszkańców, obfitość pokarmów, wielka ilość pracy użytecznej, mądra oświata, życzliwe stosunki między ludźmi są sprawami pierwszorzędnymi, do których—u nas dodałbym: nabywanie dobrych zwyczajów ekonomicznych i...zdobycie sztuki porządnego, metodycznego myślenia.

Innymi słowy: jest najmocniej pożądane, ażebyśmy choć w pewnym stopniu „przekształcili” nasze dotychczasowe sposoby myślenia; do osiągnięcia zaś tego celu pomogą nam, między innymi, nauki fizyczne.

Przypomnijmy sobie: co to jest fizyka? Jest to nauka, która odpowiada na tego oto rodzaju pytania. Dlaczego kamień nie podparty spada na ziemię po linii pionowej i dlaczego kamień, rzucony ręką, leci po jakiejś linii krzywej, zanim upadnie? Dlaczego okręt, obity stalowymi płytami, nie tonie, choć każda pojedyncza płyta natychmiast idzie pod wodę? Dlaczego balony i latawce unoszą się w powietrzu? Dlaczego struny, pocierane smyczkiem, wydają dźwięki jedne wyższe, inne niższe? Skąd pochodzi echo? Jakim sposobem płytka gramofonu chwyta, przechowuje i po-

TRADYCJE POLSKIE.

Przy kominku o zimowym zmroku
Miło gwarzyć o minionych dniach,
Młody zapał w zgasłym płonie oku,
Ideału wskrzesza złoty gmach.

To, co było, to, co się prześniło,
Znowu kwitnie, jak paproci kwiat,
Świat, co dawno leży pod mogiłą,
Ożył—cudny, czarodziejski świat...

Ten świat miniony, zarówno w życiu jednostki, jak w życiu narodu, ma dziwny wdzięk i urok. Złote nici tradycji wiążą serca żyjących z szeregami pokoleń, dawno ległych w grobie, i tworzą jednolity łańcuch, łączący przeszłość z przyszłością, łańcuch nierozzerwalny,



W DZIEŃ M. B. GROMNICZNEJ W. GRABOWSKI

cudotwórczy, zmartwychwstały, mocy pełny. A ogniwa, które od łańcucha tego odpadły, na stracone idą, jeśli magnetyczna siła tradycji nie przyciągnie ich z powrotem. Każdy z nas od dziecka pamięta owe uroczyste dni dorocznych świąt i obrzędów, oczekiwane z upragnieniem, ozłoczone glorią poetycznych marzeń, nęcące po dziś dzień urokiem wspomnień! Wigilia, gwiazdka, Pasterka, szopka, kolędy, zapusty, Popielec, Wielkanoc, Zielone Świątki, Boże Ciało, okrzęzne, zaduszki, adwent, roraty i tyle, tyle innych tradycyjnych nazw stawia przed oczyma obrazy, rzadko dziś już widziane w tej formie, w jakiej oglądaliśmy je za młodu, i budzi żal za tem, co było, a co, niestety, niepowrotnie minęło.

Zasługą też jest wielką gorącego miłośnika przeszłości narodowej, zamiłowanego jej badacza, znanego historyka Zygmunta Glogera, że w pięknej książce, bogato ilustrowanej,



PRZY KOMINKU JAŃ HOLEWIŃSKI

a noszącej tytuł: „Rok polski w życiu, tradycji i pieśni”, zamknął wszystko to, co pamięć narodu ocalała z zamętu czasów i przekazała pokoleniom, jako puściznę przeszłości, jako szacowną relikwię, godną czci i kochania najpóźniejszych potomków. Jest to prawdziwa „arka przymierza“ między dawnymi a nowymi laty. W barwnym, żywym opisie, zaczerpniętym ze skarbca poezji ludowej, z prac wybitnych pisarzy, z pamiętników, z utworów poetyckich najcelniejszych pieśniarzy polskich, przesuwa się przed nami cały rok polski w swych zwyczajach charakterystycznych, związanych z czterema porami, oryginalny, ciekawy, swoistego piękna pełny, czarujący świeżością, tak daleką od męczącej szarzyzny zwykłego, codziennego, dzisiejszego życia.

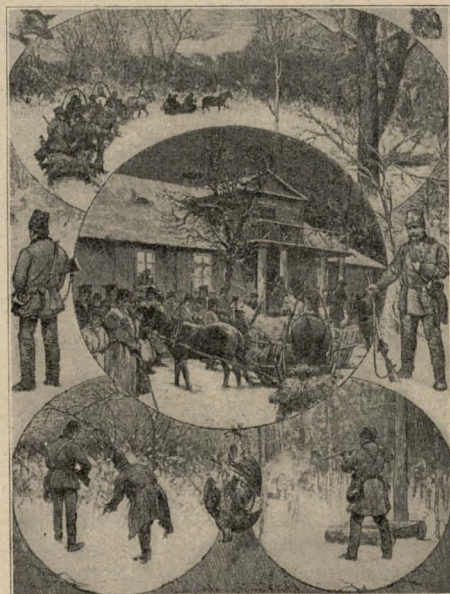
Złotą dróżką ukwieconą
Do krainy idź zakłętej,
Gdzie zniczowe ognie płoną,
Nie gasnący płomień święty.

Idź, zaczerpnij u ołtarza
Idealnej życia mocy,
Co z niczego cuda stwarza
W narodowej długiej nocy.

W narodowe długie noce dodawały otuchy udreżonemu sercu owiane królewską poezją wielkiej przeszłości, tradycyjne pamiątki i obrzędy, trwające w ciągu wieków bez zmiany. One, zachowane w sercach i uczuciach prostego ludu, miały w sobie niezatartą niczem moc polskości, moc, której wydrzeć nie mógłby nikt z piersi gorącej, chyba razem z życiem.

Ale to życie rogatą miało duszę i umiało przetrwać najgorsze okresy, skupione w sobie, pamiętne, zachowujące energię, ukrytą w głębinach serca, jak drogocenną perłę na dnie muszli.

Książka Zygmunta Glogera jest skarbem, pełnym kosztownych klejnotów, mieniących się kolorami tęczy. Klejnoty owe przypominają nam i uprzytomniają i dzieje nasze



ZE WSPOMNIENIŃ MYŚLIWEGO A. W. KOWALSKI

minione, i bogactwo ducha polskiego jednocześnie. Nazwiska poetów i artystów ozdabiają karty wybornego dzieła, za które, powtarzamy, należy się autorowi prawdziwa wdzięczność.

Przy kominku o zimowym zmroku
Miło gwarzyć o minionych dniach,
Młody zapał w zgasłym płonie oku,
Ideału wskrzesza złoty gmach.

To, co było, to, co się prześniło,
Znowu kwitnie, jak paproci kwiat,
Świat, co dawno leży pod mogiłą,
Ożył—cudny, czarodziejski świat...



ŚWIĘCENIE NA WSI



A. POCIECHA

BIELANY

M. A. ANDRIOLLI



IMPRESYA ŚNIEŻNA (z V Salonu dorocznego)

A. NEUMAN

DOTKLIWY BRAK.

Z chwilą, gdy życie zaczęło u nas uderzać tętnem nieco innym, gdy na jego powierzchni ukazały się zagadnienia, których niepodobna było rozwiązać doraźnie, bez dokładnego zorientowania się w następstwach i bez wszechstronnej oceny zjawisk ubocznych, towarzyszących danej akcji—wystąpił na jaw w całej swojej jaskrawości brak wykształcenia i brak wyrobienia politycznego, brak, umotywowany zresztą zupełnie warunkami, w jakich rozwijało się i dojrzewało pokolenie ostatnie.

Od owej chwili przelotowej minęło jednak już lat kilka. Zebraliśmy przez ten czas sporą wiązkę gorzkich doświadczeń, przeżyliśmy niejedną zawód, poślępnęliśmy niejedną żonę. Nie uczyniliśmy jednak nic zgoła, aby wiadomości swoje rozszerzyć, przygotować się lepiej do oczekujących nas zadań, wyostrzyć swój wzrok i nauczyć się przewidywać. Zostawiliśmy wszystko życiu i jego ruchliwej fali, czekając, co też nam ona przyniesie, a jeżeli tu i owdzie daje o sobie znać jakaś zdobycz pozytywna, jakiś pogląd trzeźwy i bystry, to zawdzięczamy go raczej dobremu instynktowi, niż wysiłkom własnym i nauce. Wyjąwszy nieliczne jednostki, szeroki ogół współczesnej inteligencji polskiej pozostał obojętnym na jedną z największych potrzeb chwili, na potrzebę naukowego, poważnego i głębokiego traktowania zagadnień politycznych.

Nasza literatura polityczna jest uboga, za uboga, jak na potrzeby narodu dwudziestomilionowego, którego przyszłość wiąże się i wikła w splocie kwestyi ogólno-światowych i zagadnień pierwszorzędnej wagi. I może niedość nawet zdajemy sobie sprawę z tego, że żadna kwestya polityczna, choćby najodleglejsza, nie jest dla nas zupełnie obojętna, że powinniśmy ją znać i wysondować, i to nie na podstawie skąpych relacji dziennikarskich, opartych najczęściej na źródłach, czerpanych już z drugiej ręki, za pośrednictwem prasy niemieckiej, francuskiej i angielskiej, ale na podstawie własnych rozważań. Niestety, tych rozważań nie mamy i, chcąc poznać czy to istotę kwestyi bałkańskiej, czy zatarg niemiecko-angielski, czy jakąkolwiek inną kwestyę współczesną, musimy iść do źródeł obcych i tam szukać odpowiedzi na zajmujące nas pytania. Ilekroć zaś to uczynimy, zdumiewa nas zawsze obfitość materiału, jaki mają w tym kierunku pod ręką nasi bliżsi i dalsi sąsiedzi. Wszystko tam jest, wszystko zostało zrobione, opracowane, przygotowane, o wszystkim

możemy się dowiedzieć, ze wszystkiego skorzystać.

Sami tymczasem jesteśmy jak najbardziej w tej dziedzinie upośledzeni. Brak nam nie tylko studyów oryginalnych, ale nawet referatów popularnych o kwestyach, które nie są najbardziej palącymi dla nas, które nie dotyczą bezpośrednio naszego dnia dzisiejszego. Brak w naszych pismach artykułów politycznych głębszych i gruntowniejszych, brak na naszych katedrach odczytowych prelegentów, którzy ujmowaliby treściwie najważniejsze kwestye polityczne i informowali o nich słuchaczy. Dość będzie, jeżeli powiem, że w programie wykładów Towarzystwa Kursów Naukowych dziedzina polityki najzupełniej została pominięta, że żadna instytucja, organizująca odczyty, nie myśli o odczytach politycznych, przekładając, jako dające większy dochód, odczyty literackie, artystyczne i nawet... drastyczne, mimo że przyszłość narodu zależy więcej od dobrej orientacji politycznej jednostek i mas, niż od stanowiska, jakie zajmujemy w sprawie wolnej miłości lub nagości w sztuce.

Z. D.

POMNIK PROMYKA.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Za pomnikową pracę nad ludem i dla ludu należy się ś. p. Promykowi pomnik od wsi polskiej, widomy znak wdzięczności.

Myśl nie nowa. Zakiełkowała ona we wszystkich sercach zaraz po przedwczesnym zgonie niezastąpionego pisarza.

Gdzie pomnik dla takiego Męża stanąć powinien? Zagadnienie to, zdaje mi się, najtrafniej rozwiązał niedawno na łamach *Wiadomości Codziennych* czytelnik z pod Olkusza, p. Jan Żurek, proponując Częstochowę.

Częstochowa! to stolica wsi naszej! O widoczniejsze miejsce trudno.

U stóp Jasnej Góry, wśród pątniczej rzeszy, z której połowa modli się z „książki” dzięki Jego zasługom, winien stanąć pomnik, na wieczyste wspomnienie dla żywych, dla pamięci

potomnych. Tędy i tu była Mu spółem z ludem polskim droga.

A szczęśliwym zbiegiem okoliczności projekt p. Jan Żurka zbiega się właśnie z podjęciem wystawy krajowej w Częstochowie, której komitet między innymi postanowił wybudować „wzorową chatę polską”.

Mimowoli ciśnie się pod pióro myśl, czy taka chata polska nie byłaby właśnie najwłaściwszym pomnikiem dla tego, co życie i pracę „chaty” ofiarował?

Chata polska! ta rodzona! zręb na węgiel mocowany, podsiebitka wokół ściany, strzecha, w „jeża” przykrojona. Na grzbiecieniu w sznur „kalonka”, niżej dymnik w samym szczycie, mchem przerosłe w krąg poszycie zieleni się, nikiej łąka!

Ściany białe wylepiane, z okieneczkami na gościeniec. Pod okapem ptasi wieniec: gniazda wróble, jaskółczane. Drzwi z zamknięciem. Przy zaporze surowcowy wisi rzemień, próg wysoki, jak pień w borze, poprzód progiem polny krzemień. Sień głęboka, nad nią górka, z sieni—izba.

Zaraz w progu: w jednym kącie żarna w rogu, w drugim komin od podwórka, komin z „babą”, grubomury, piec chlebowy i przypiecek...

Na przypiecku spanie „dziecek”, pod kominem „niosą” kury.

W izbie ściany pobielone, kłoc zatknięta za stragarze, dokoluśka świętych twarze i wianuszki ziół święcone!

„Przenajświętsza” wraz z „Dziedziną” ma dwie palmy, prócz gromnicy... A tak patrzy ze świetlicy, że przemówić ino... ino!

Na podłodze z „ilnej” gliny, ku wygodzie i obrządku, wszelakiego moc „porządku” i dla człeka i gadziny...

Stół sosnowy, heblowany, szafa za szkłem, półki kołem, dębne ławy poza stołem, beczka z wodą wedle ściany, koło beczki konew wiadro i półkwarcie i drapak...

I korytko dla wieprzaka!

Wszystko w kupie pod *zanadrą*...

Jest i lampka u powały, przyodziewek z barwną skrzynką, dwoje łóżek pod pierzynką, pod pierzynką, jak rok cały!

Nad łózkami ponad głowy, z „Bożą męką” wisi krzyżyk i koronka i szkaplerzyk poświęcany z Częstochowy.

Do komory drzwi kowane: wrzeczadź, kładka, jak się patrzy!.. bo tam statek najbogatszy, wszelkie dobro przechowane. Jest odświętny przyodziewek i słonina i mleczko i zapaśne w faskach mlewo i garść ziarna na obsiewek!

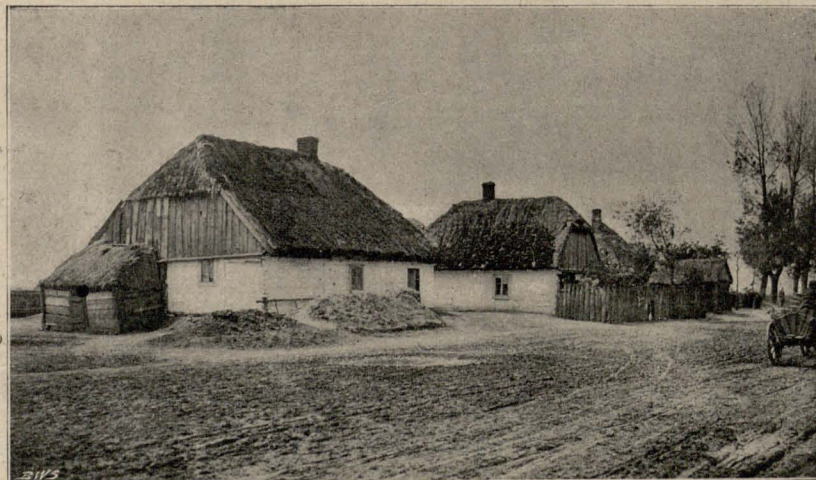
Jest kapusta, kruszek soli, sadło w łupkach aż się topi! Poza belką pęk konopi, serków, masła jest dowoli...

Oczywista, że ta moja chata, jako pomnik, musiałaby zapewne uleść w tem lub owem przemianie. Może należałoby ją, zatrzymując charakter, postawić nie z drzewa, lecz z ciosu, zamiast serków i mlewa ustawić szafy z książkami, z wszystkimi dziełami Promyka. Może...

Ale, gdyby to ode mnie zależało, stawiłbym taką chatę, a na niej w odrzwiach brązowe popiersie ś. p. Konrada Prószyńskiego.

I nie gdzicindziej, jak w Częstochowie.

K. LASKOWSKI.



CHATA WIEJSKA.

WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

„Ojciec Makary“ Świętochowskiego i „Żona Yorricka“ Tamaya y Baus. — Spóźniliśmy się i spóźniamy się wciąż. — Rezurekcja prochów „Ernani“ego przy akompaniamencie niezrównanego śpiewu Battistiniego. — Koncerty historyczno-pedagogiczne. — Setna rocznica urodzin Mendelssohna. — Słów kilka o tem, co nieśmiertelnem jest, a co zależnem od zmiennych gustów i upodobań. — Jubileusz p. Waleryi Niewiarowskiej. — „Kasztelanowa“ Korzeniowskiego.

Z respektem, należnym wszystkiemu, co wielkich pisarzy dotyczy, wysłuchaliśmy „Ojca Makarego“ Al. Świętochowskiego — w Teatrze Małym. Z ciekawością wysłuchaliśmy czteroaktowego dramatu Hiszpana Emanuela Tamaya y Baus — w Rozmaitościach. Rzadko przecie „coś hiszpańskiego“ widuje się na scenie naszej...

„Ojciec Makary“ pozostał — bardzo szacownym dokumentem *temporis acti*, t. j. czasów, kiedy poruszone w nim idee podlegały jeszcze dyskusji. Dziś... urok ich aktualności spłowił, a wspaniałą dyalektyką „książkową“ nie każdy ubawiony został do syta — na widowisku scenicznym. Tedyśmy wrażeń zamierzonych nie zaznali.

Zaś Tamayo y Baus, autor szacowny i wzniosły, nie jest bynajmniej Echegey'em, którego sława przerosła Pireneje i zaświeciła Europie. Czas jego powodzeń przeminął już nawet w samej Hiszpanii, gdzie, podobno, do dziś dnia jeszcze cieszy się „klasyczną“ popularnością, podniecana pietyzmem, tylko owa właśnie „Żona Yorricka“, czyli ów „Nowy dramat“, jak brzmi tytuł w oryginale. My zaś, oczywiście, tego hiszpańskiego pietyzmu żywić nie mamy dobrej racji... Przeto też i sztuka wydała się nam tylko tem, czem jest wistocie, bardzo „teatralnym“ melodramatem, pełnym prostoty, przestarzałych efektów i staroświeckiego stylu.

Słynny aktor-komik Yorrick, ozdoba i chluba wędrowniej trupy... Szekspira (rzecz dzieje się w Anglii w XVI wieku) dowiadyje się, że młodziutka jego żona, też aktorka, pała afektem dla jego wychowanka, również aktora. Zacny a rozżalony, podeszły w leciech Yorrick wszczyna podczas gry na scenie *prawdziwy* pojedynek z rywalem swoim — i zabija go. Braknie tylko muzyki, a „byłby kubek w kubek „I Pagliacci“ Leoncavalla.

Byłby zresztą i bez muzyki: „poruszenia“ w audytorium, może nawet łzy i omdlenia — gdyby sztukę podano na widok publiczny tu u nas... przed trzydziestu laty. Niestety, dziś już czułość wrażliwości naszej o wiele natarczywsze stawia wymagania.

Tedy kwintesencję pochwał zarówno dla „Ojca Makarego“, jak dla „Żony Yorricka“, zredukować musiano, chcąc nie chcąc, wychodząc z teatru, do westchnienia:

— Ach! czemuż i jednej, i drugiej sztuki nie wystawiono... trzydzieści lat temu!

Czuć w tem było niewątpliwie wysoką uwagę dla poważnych przymiotów obu utworów; wszelako wątpliwości zdaje się również nie ulegać, że mocno spóźnione to *pium desiderium* nie na wiele już przyda się utworom obu.

Nie spóźnijmy się tedy, na litość Boską! Oto morał, który mógłby śmiało, między innymi, wygłosić Szekspir, wygłaszający w sztuce Tamaya tyle rozbrajających prostotą swoją aforyzmów dla codziennego użytku.

My tu, w Warszawie, ryzykujemy wszak z tygodnia na tydzień: spóźnić się grubo z oglądaniem na scenie tylu „arcydzieł“ dramatycznych polskiego modernizmu... Prawda? — Kiedyż je ujrzymy, pytamy, kiedy? — Czyliż wówczas, gdy „arcydziełami“ być — przestaną! A, nie daj-że, Boże, doczekać synom i wnukom naszym widowisk tak — spóźnionych...

Będzie-ż potem, biedactwo, wychodziło z teatru, wdychając:



FELIKS MENDELSSOHN-BARTHOLDY.

— Ach! czemuż tej „Ucztę Herodyady“, tego „Wesela“, tej „Warszawianki“, tego „Dymitra Samozwańca“, tego „Wyzwolenia“ nie pokazano nam... przed trzydziestu laty!

Nic łatwiejszego, jak spóźnić się... I fatalniejszej chyba przygody być nie może.

Dowód: spóźnienie się na pociąg lub — poruszenie w dobrze zasłużonym grobie prochów „Ernani“ego, szukając, czy nie znajdzie się tam jeszcze jaka popisowa nuta lub „fermata“ dla... Battistiniego.

Jużci, że dla takiego mistrza nad mistrze *del bel canto*, jak Battistini, toby się nawet wśród egipskich hieroglifów znalazło coś do zaśpiewania. Ale opera chociażby samego Verdiego, urodzona w roku 1844, nie może przecie trzymać się jeszcze krzepko na nogach w roku 1909-tym! Po cóż fatygować staruszkę — i nas? Niech-że i ona i my zaznamy spokoju...

Zresztą, dla rozmaitych „Ernani“ małoż to miejsca na programie koncertów historyczno-pedagogicznych, których serya w Filharmonii rozpoczęła się właśnie, a którym nie szczędzmy słów gorącego uznania. Właściwie zainicyowała je p. Marya Sobolewska, kierowniczka znanej warszawskiej szkoły śpiewu, dla krzewienia kultury muzycznej wśród uczącej się młodzieży. Lecz — doprawdy, koncerty to tak wysoce interesujące i pouczające,



WALERYA NIEWIAROWSKA.

że zachęcaćby należało do słuchania ich jak najszerszą publiczność naszą.

Powiem krótko: koncerty owe, obok symfonicznych Fitelberga, poczytuję za najszczęśliwszy i najpożyteczniejszy pomysł obecnego sezonu muzycznego. Chodzi tylko o to, by publiczność nasza, która tak skwapliwie pośpieszyła *korzystać* z koncertów Fitelberga, nie... spóźniła się z korzystaniem z koncertów pedagogiczno-historycznych.

Czem-że zresztą są tak modne dziś obchodzenia wszelkich „rocznic“, jeżeli nie bardzo a bardzo pouczającymi retrospektywami na dany odłam twórczości artystycznej, nieco już... zapomniany, lub... nieznanym wcale, a mający dla kultury naszej duchowej niemałe znaczenie...

Dwa wieczory koncertowe warszawskie, poświęcone wyłącznie utworom Mendelssohna, jemu przecie nie przysporzą ani sławy, ani chluby — pośmiertnej. Ale niezaprzeczenie potrzebne były — dla nas.

Mendelssohn!.. A któżby tam jeszcze ozierał się nań łaskawie w roku wystawienia w Dreźnie „Elektry“ Straussa Ryszarda! Kto?... Urodził się akurat przed stu laty... to i cóż? *Nomen-omen*. Feliks mu było na imię. To też zazał niczem nie zamąconej szczęśliwości przez życie całe; uśmiechało się doń ono, uśmiechało się — rozpieszczętało go. Nawet umarł w 38 roku życia... A jakiej-że sławy zażywał! Wprost: dyktatorem był w świecie muzycznym — aż do odezwania się Wagnera. Otrzymał wszystko, co mu się należało i — nie należało. No i dosyć.

Nie, — nie dosyć.

Nie dosyć dlatego, żeśmy *my* zapomnieli, iż Schuman nazwał go — i, wierzyć proszę, że nie bez racji — Mozartem XIX wieku. Dlatego że zapomnieliśmy, iż zdyskredytowali „mendelsońszczyznę“ nie on, lecz jego naśladowcy i epigonowie nieznośnym, cikliwym sentymentalizmem swoim. Dlatego, że zapomnieliśmy owego cudnej pogody „śnie na kwiatkach, śnie mój złoty“ przepojonego muzyką 17-letniego młodzieńca do „Snu nocy letniej“ Szekspira, zapomnieliśmy o Symfonii Szkockiej i o Koncercie E-moll na skrzypce i o tem, że twórca „Pieśni bez słów“ był nie tylko twórcą fortepianowej „miniatury“, lecz i zarazem wielkim majstrem w dziedzinie muzyki symfonicznej i kameralnej.

Dziwne! Więc w dziedzinie Sztuki: wstrząsanie słuchacza gruchotaniem w wyszukane instrumenty ma być czemś dostojniejszym i cenniejszym, niż upajanie go miękką, kojącą uczuciowością, powinną gracyą, klasyczną pięknością formy, dającą znakomity wyraz głębokiemu liryzmowi? Więc tytuł „największy klasyk wśród romantyków“ ma nadawać jakąś niższą rangę niż... „impresjonista muzyczny“?

Etże! — Zgódźmy się, że, obok niezmiernie szacownych gustów i upodobań, istnieją przecie „rzeczy“ nieśmiertelnie piękne, na które istota ludzka *nigdy* wrażliwości nie utraci...

Ot, ręczyłbym, że p. Niewiarowska, której, za chwilę, złożony pióro, pójde uczcić oklaskiem 55-letni jubileusz powodzeń i zasług na scenie naszej, ukaże nam, aczkolwiek w sztuce staroświeckiej, w rówieśnicze opery „Ernani“, w „Kasztelanowej“ Korzeniowskiego, dzieło sztuki aktorskiej, równorzędne artyzmem z najświeższej daty objawami kunsztów rozmaitych.

Szlachetność i stylowa dystynkcja cechowały grę aktorską p. Niewiarowskiej zawsze, począwszy od Lady Malborough w „Szklance wody“, lub baronowej w „Hélène de la Seiglière“, a wkraczając w obfitą galerię postaci „matron bohaterkich“ repertuaru rodzimego.

„Kasztelanowa“! Pamiętajtaż kto jeszcze ów wizerunek dumnej, hardej, a jednak tak do gruntu dobrej wielkiej pani, ofiarowany przed wielu, wielu laty przez Korzeniowskiego dla napisu — Halpertowej, odrzucony przez nią, jako rola... zbyt mizerna? „Mniemałem w zarozumiałości mojej artystycznej — pisała do Korzeniowskiego — że napiszesz, Panie, wielki dramat, w którym ja“... i t. d.

Dawne — dawne to dzieje.

Myśmy dziś łakomsi na „nowinki“, niż na wspomnienia...

TADEUSZ MICIŃSKI:

FORTECA MARMURÓW.

Forte dei Marmi!

Pojechałem tam nad morze ogromne, tajemni-
mi szumiące, aby znaleźć życie nowe lub zgon.

Uśmiechnął się mi los Shelley'a: wypłynąć
nocą śród fosforescency—i nie wrócić.

Niechby się domyślał kto chce — i czego
chce.

Wyzwolić się pragnąłem z moich złudzeń,
którymi opętało mnie życie w Polsce.

* * *

Łańcuchem wysokim, jak Tatry, bo 2,000 me-
trów nad poziomem morza rozciągnęły się góry



Poławiacze muszel w Marmi.

przepyszne, zwane Alpy Apuańskie, śród których
leży Karrara, sławna marmurami.

Szczyty nagie, przepaściste, rzekłbym, księ-
życowe—gdyż tak wyobrażam sobie Luciferowy
wygląd naszego satelity; La Pagna — z wirchów
najwyższy, podobny do Gałucha—szczególniej wie-
czorem z tarasu willi przedstawia widok niepo-
równany!

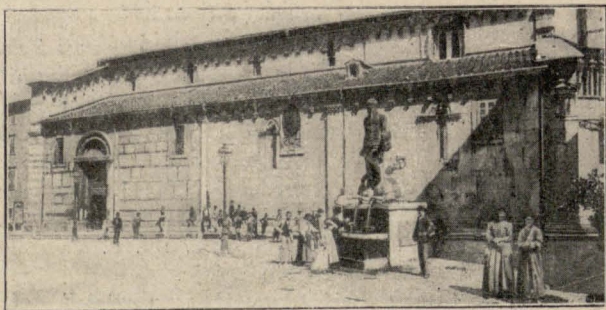
Kiedy zachodzi słońce i, jak bóstwo skrzy-
dlate Hadesu, płomieniejąc nad zatoką Spezii, roz-
rzuca po morzu swój baśniowy pawilon z naj-
czystszych topionych w ogniu klejnotów; kiedy od
morza i piaszczystego wybrzeża przez zielen łąk
i kukurydzy, winogradników, oraz sadów owoco-
wych, zarumienionych w bujnym kwieciu jabłoni
i brzoskwiń, wzrok podnosi się nagle ku blizkim
górom, tak blizkim, jak Kosista z Zakopanego:
jest się wstrząśnionym przez niesłychany demon-
izm natury.

Monte Carcio, góra nawskroś marmurowa,
wirchem świeci, jak tablicą złotą, czekającą Maga
Trismegisty, który z niej wyczyta prawa Eonów...

Są w tej górze sale z marmurów białych,
śnieżne bajki olbrzymów.

Dalej, góra Mniszka, zaś na horyzoncie, po-
dobny do katedry Krywania lub iglicy Furkota,
Monte Altissimo.

Te góry pokryte do połowy bujnym lasem
kasztanów, w dolinach szumią potoki i pracują



Karrara. Wejście do katedry.

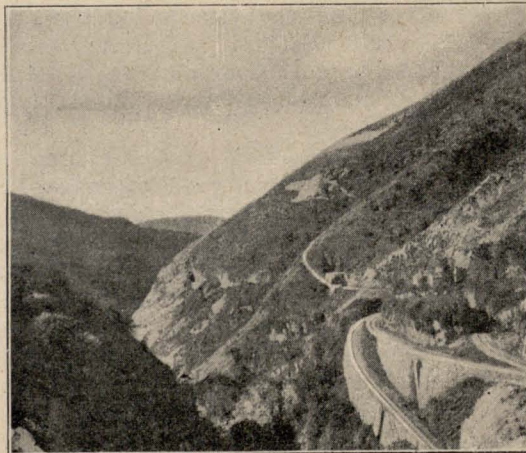
wielkie tartaki dla rżnięcia marmurów; wloką się
po szosie całe armie wołów ogromnych, istic ukraiń-
skich: na kutyh potężnych wozach bloki marmuro-
we, z których można wyciosać całą Atenę Pronaos
lub Poskramiacza Koni.

Wśród słońca cudownego i świeżości niepo-
równanej łąk, na których kwitną orchideje, szosa
staje się już drożyną, wykładaną kamieniami, po
której przejdzie tylko człowiek pieszy lub muł.
I tam, wysoko nad światem, miasteczka pasterzy
z dzwonnicy kościelną, zawieszoną nad tysiącme-
trową przepaścią; słysząc kryształny dźwięk dzwon-
ków, niesionych przez owce lub krowy, widzę na-
raz te krajobrazy i to życie, które malował Se-
gantini.

Jeszcze wyżej spotykam już tylko limby i nie-
przebraną ilość narcyzów, z gatunku narcissus poe-
ticus, gencyany wielkie, modre, z czarnymi pręga-
mi (nie tak świetne, jak w Tatrach!), całe zagaje
róż dzikich, lasy sosnowe...

Wyżej już tylko skały nagie, chłodne, mimo
tęgiego upału przez dzień. Zmierzch. Słońce staje
się już stygmatem karbunkułowym—i wystyga... Wi-
dok wstrząsający, jak z Genesis,—na roztoz mor-
rza, na ten bezmiar wielkich królestw! Pośród
tafli lustrzanych wód rzeźbią się dziwne kabali-
styczne prądy, niby żyły w agacie. Morze ma
swoje rzeki o kierunkach odmiennych, u których
zbiegu tworzą się wiry. Nad takimi górami, god-
nemi Demona, i nad morzem, które opiewał Ho-
mer, księżyc wznosi się tarczą nieprześcignionego
zachwytu, serdeczny, jak w dumie o Emirze Rze-
wuskim, dyszący, jak łono dziewicze, zarumienione
wstydem, lub raczej nadludzki, nadmystowy, po-
dobny tarczy islandzkiego bohatera, która czeka
tytana, mając w sobie wszystkie rozżarzenia Mi-
łości i Zgonu. Niechajby Tytan ją wziął i po-
szedł przez te wirchy gór, choćby ku jakim naj-
straszliwszym piekłom Niflhajmru!

Wzrok nie może oderwać się od przecu-
dowej pieśni, którą naraz wyśpiewują morza, góry
i księżyc. Jest w tem jakiś sen ubezwładniający,

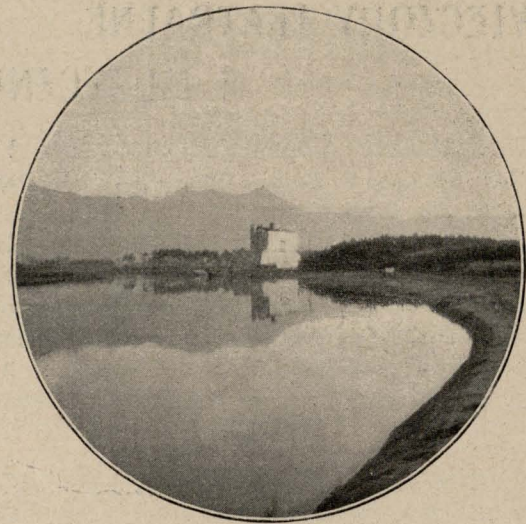


Kopalnie marmuru w Karrarze.

gdyż czuje się, że już nic piękniejszego Ziemia
nie posiada, że już nie warto marzyć i tęsknić za
Bosforem, za Andami, za Indyami, nawet — i za
Polską...

Naraz moment Meduzowej grozy! dusza po-
czyna wylaniać się, dusza, której wyzbyło się już
oddawna, utopiwszy ją, jak dziewczkę w haremowym
morzu, przeklęta, wieszczą, zbyt tragiczną, zbyt
prawdziwą!

Straszno jest spotkać się z duszą
swoją tam, wśród tych, cudów wśród tego
piękna, które mówi: triumfuj nad życiem.
stań się Dyonizosem, który wino purpu-
rowe—żywicę słońca — wchłania i bierze
z ziemi najbezpieczniejszą radość! Dusza
zjawia się, łachmanem czarnym okryta,
wychodzi z—więzień Nerczyńska!—Dusza,
której smutek jest głębszy, niż wszystko,
co w tę przepaść wrzucamy: upojenie
chwila, refleksyie optymizmu, zdrowie hel-
leńskie, wzgardę dla posępnych religijnych
dogmatów... Dusza mówi, iż jest jej źle;
dopóki nie odnajdzie się klucza, zgubio-



FIUMETTO.

nego i już nie szukanego, od tych wielkich bram,
za którymi wrą rzeki i Niagary natchnień, dopóki
nie nastąpi wyznanie, iż tylko dusza i niczego
więcej niema na świecie, dopóty to widmo
mściwej Gorgony z obłądnie zapalonemi wście-
kłością oczyma czyha na każdej drodze rozstajnej,
w każdej chwili, gdy jest się samemu.

Dusza polska jest bólem, a nienawiść moja
do bólu, do wszelkiego zamglenia—stała się wiel-
ka i niesprzymierzona, jak Słońce względem mgły
robaczliwej i trującej, tej mgły, która jednego rana
potrafi zabić wszystkie winnice, tworząc mirya-
dy pasorzytnej Perenospery.

Patrzę z współczuciem chłodnym na moją
dawną Duszę, która blada, z rozjarzonymi aż do
progów obłądu oczyma, wzywa mnie, abym ze-
szedł znowu do tych wąwozów męki, do tych
ofiar Chrystusowych, do milczeń pustyni, w której
niema już niczego nad rezygnację!

Ujrzałem drugą postać, tam, nad morzem idącą:
patrzy oczyma spokojnymi, jak zatoki morza, wy-
chodzi już z krain zwątpienia, idzie po wielkich
krainach Wiedzy—mówi do mnie:

Idź głębiej, dusza męcząca się jest twą
maligną, jest atawizmem wieków klasztornych, jest
cieniem od krzyża, który twój własny wyrok na
się w hymnach wielkopiątkowych opiewa. Ze mną
poznasz radość piasków nadbrzeżnych, ukażę ci
potworną mądrość królów mrówczanych, które
wbijają jadowite haczyki w motyle i żuki; ze mną
wchłoniesz zapachy lotusów różowych, które kwi-
tną tu na rozlewiskach leśnych, ja jestem Myśl!
Ja jestem też Miłość! Ja jestem nadewszystko
Życie!

— I tak idę nad morze nocami, słucham
tych fal opowieści.

Z tych fal, od działania przyływu i odpły-
wu w potężnym magnetyzmie słońca utworzyło
się niegdyś pierwsze życie na prarodnej Ziemi.

Z tych fal wielkiego macierzyństwa naro-
dziła się pierwsza protoplazma, a potem człowiek, —
który w ciągu kilkunastu tysięcy lat Boga two-
rzył, a który nieraz w ciągu jednej nocy przemy-
śleń całego Boga odrzuca!

Myśl staje się już spokojna i wielka, roz-
świeca wewnętrzną Mądrość tam, u stóp gór: nad
Morzem.

Jeżeli jest możliwość szczęścia dla wodza,
który utracił wszystkie swoje wojska (złudzeń!), tu
jestem szczęśliwy.

Umiem już zwyciężać, zwyciężać za wszel-
ką cenę illuzję, kłamstwo, poetyczność—*ujrzałem
istotną siłę!*

Życie me upływa w wyczerpanej pracy, rano
witam rumaki Apollina, nie przeszkadza mi nikt,
gdyż zamieszkałem na folwarku wśród łąk i la-
sów. Trzebaby książkę całą pisać, chcąc określić
choćby kilku rysami te cuda. Nigdy nie widują
ich cudzoziemcy, którzy oddzieleni są od życia wol-
nego wysokimi murami i płotem.

Prowadzi nas Pani Thalassa, jadąc sama
w maleńkim powoziku, ciągniętym przez konika
z rasy sardyńskiej. (DN)

Armia 40,000,000.

Od czasu zwycięstw japońskich, od czasu zawarcia umowy angielsko-japońsko-rosyjskiej, która zażegnała narazie wszystkie targi na dalekim Wschodzie, nie słychać już o walecznym małym państwie. Ale obok niego, z trudnością, powoli odradza się drugie—olbrzymie tym razem mocarstwo—Chiny.

Na przestrzeni trzech tysięcy wiorst granicy Niebieskie Cesarstwo z Rosją; na samym progu Chin Francja rządzi dwudziestu milionami żółtych; w Hong Kong i Kiao Czau czuwa Anglia i Niemcy. Wzmożenie militarne Chin wszystkim mocarstwom europejskim zagraża. A to wzmożenie jest już tylko sprawą przyszłości—i to bardzo niedalekiej.

Ludom żółtym nie brak pogardy śmierci: Chińczycy nie ustępują w tym względzie Japończykom. Uzbrojeni w łuki, w stare lance i kosy, zrzadka w przestarzałym systemu broni palnej, dali się spokojnie zabijać podczas wojny chińsko-japońskiej zbrojnemu w najnowsze narzędzia techniki wojennej przeciwnikowi.

Niedawne to czasy, kiedy liczące 430 milionów mieszkańców Chiny miały tyle wojska, co 94 razy mniejsza Portugalia. A wojsko to było przypadkową, luźną zbieraniną nędzarzy w łachmanach. Najlepszymi względnie były oddziały żołnierzy zawodowych, przeważnie Mandżurów, t. z. oddziały „ośmiu sztandarów” o większej ilości kolorów, niż tęcza. Ci wojskowi żyli z rodzinami w jakich takich wioskach (przypominają się kolonie Arakcejewa za Aleksandra I), gdzie otrzymywali ryż cesarski, gdzie było im dobrze, a więc skąd trudno było im się ruszyć.

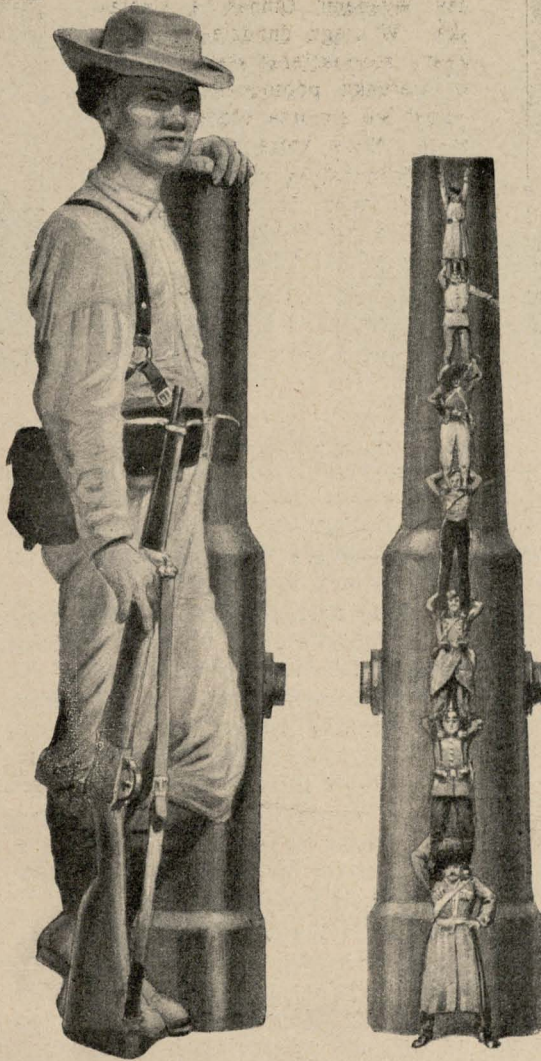


Dziś i dawniej. Przepaść oddziela eleganckiego współczesnego żołnierza od wynędzniałego starca.

Druga kategoria—to milicje wicekrólów: „mężni”, albo inaczej „ochotnicy”. Ci musieli sobie zdobywać żołąd, a czasem pożywienie kosztem ludności cywilnej. Na szczęście dla niej byli bardzo lichy uzbrojeni. Stare szable, zardzewiałe muszkiety, czasem piki, a nawet zwykłe kije wystarczały do siania popłochu w kurnikach, chlewach i śpichrzach z ryżem.

Kiedy ta zbieranina ruszała na wojnę, piersi żołnierzy zdobiły smoki, lub inne potwory o kolorach jaskrawych, jakby po to, by nieprzyjaciele mieli cel lepszy. Każdy, kto dostawał strzelbę, trzymał w dodatku parasol. Natomiast obuwie było plecione ze słomy i wystarczało każdemu żołnierzowi na jedną dobę.

Ze sztandarów powiewały pod adresem



Kiedy cały plan wojskowy chiński zostanie wykonany, stosunek ilości wojska państwa azjatyckiego do wojsk europejskich będzie taki, jak stosunek olbrzyma na rysunku do piramidy pigmejów.

wrogów najstraszniejsze groźby i klątwy. Oficerowie ciągnęli wprawdzie za wojskiem, wygodnie w lektykach, ale mieli na piersiach wyszyte przerażające godła: „tygrys”, „potwór”, „niezwyciężony nosorożec”. Zostawali zresztą oficerami bez wielkiego trudu. Kilka tekstów Konfucjusza, umiejętność pisania, strzelania z łuku, czasem staroświecki konkurs, kto dalej rzuci wielki kamień—oto wszystko, czego od nich wymagano. Lekceważono ich. Mandaryni wojskowi byli na ostatnim planie, dochodzili tylko do kryształowego guzika.

Bitwa rozpoczynała się od wrzasków chóralnych: „bij!” „morduj!” „ćwiartuj!”—wszystko pod adresem nieprzyjaciela, aby go przerazić. Ale to nie zawsze cel osiągało, chociaż zimnej krwi wobec niebezpieczeństwa nikt Chińczykom odmówić nie mógł. Podczas ostatniej wojny z Japonią wojska chińskie, uzbrojone wyłącznie w łuki i... parasole, dzielnie trzymały się pod ogniem rotowym i armatnim. Pod Pingjaniem oddziały wyborowe, mandżurskie, uzbrojone już w karabiny Mauzera, broniły się nawet wcale nieźle. Nagle przyszła ulewa. Chińczycy rzucili karabiny i rozwinięli kolorowe parasole. Japończycy wzmocnili ogień w kierunku niezrównanych celów. Nie pozostało na placu ani jednego „tygrysa”, ani jednego „niezwyciężonego nosorożca”...

Takie niedawne czasy... a jednak tak dawne! Opowiadania te z przed lat kilkunastu brzmią dziś, jak stare bajki. Zdobycie Pekinu przez wojska europejskie w r. 1900 otworzyło Chińczykom oczy. Już wówczas niektóre oddziały śmiałych reformatorów, Juanszika i marszałka Ma, którzy pod karą śmierci zabronili używania parasoli i wojska swoje po europejsku uzbroili i wyćwiczyli, biły się dobrze. Ale było ich mało. Zhańbienie grobów cesarskich zapaliło serca żółtych pragnieniem

odwetu, a zwycięstwa Japonii otworzyły im oczy. Chodziło już tylko o plan reformy.

Zażądano go z początku od Europy: Anglik, sir Robert Hart, opracował z polecenia rządu chińskiego nieszkodliwy dla Europy szereg drobnych zmian. Synowie nieba, którym sprytu nie brak, za plan podziękowali i autora... odesłali do Europy. Niebawem zdumione mocarstwa dowiedziały się o własnym planie chińskim.

Postanowiono stworzyć 20 korpusów po dwie dywizje o dwóch brygadach każda. Brygada składać się ma z czterech pułków, czyli dwunastu batalionów, po 300 ludzi, prócz jazdy, saperów i artylerii. Pobór wojskowy ma się odbywać po prowincjach, w miarę potrzeby. Na początek wzięto pół miliona rekrutów. Czas służby określono na 9 lat, potem następuje 7 lat rezerwy z dwumiesięcznymi w jeździe i jednomiesięcznymi w piechocie ćwiczeniami corocznie. Stworzono 25 szkół wojskowych, które miały wykształcić w ciągu pierwszych trzech lat 4 tys. oficerów, a potem wypuszczać corocznie półtora tysiąca wychowanców. Wysokość budżetu wojny nie została narazie określona. Ale wicekrólowie są zobowiązani zaspokajać jego potrzeby przed wszystkimi innymi i przed własnym utrzymaniem. Określenie wojenne postanowiono nabyć w Japonii, zaczynając od torpedowców i krążowników.

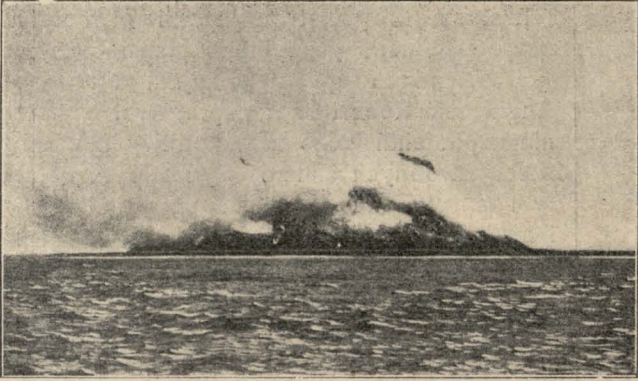
Cały ten plan został wykonany. W tej chwili 15 komendantów korpusów rozporządza 42.000 ludzi, uzbrojonych w mauzery, wyćwiczonych, płatnych, i to dobrze płatnych, po 3 tae (około 5 rb.) miesięcznie. 37 szkół wojskowych średniej kształci 7 tysięcy kadetów, w czterech szkołach wyższych uczy się 900 oficerów, którzy—zanim stworzona zostanie akademia wojskowa w Pekinie—dokończą swego wykształcenia w Tokio. W r. 1905 i 1906 odbywały się pierwsze w dziejach Chin manewry stutysięcznej armii.

Jeżeli tak pójdzie dalej, jeżeli konsekwentnie stosowany będzie plan zasadniczy, w r. 1915 Chiny będą rozporządzały *dziesięcioma milionami* ludzi, wyćwiczonych w wojsku regularnym; w r. 1925, gdyby przyszło im na myśl powołać pospolite ruszenie, stanie pod bronią *czterdzieści milionów*, armia, jakiej nie znał dotąd świat. Dodajmy, armia żołnierzy o skromnych potrzebach i zupełnej pogardzie śmierci...

Więc niebezpieczeństwo żółte jest istotnym niebezpieczeństwem? Dziś—jeszcze nie; jutro—być może. Chiny nie mają dziś dążeń zaborczych, ale już dziś mogą zamknąć granice swego państwa dla Europejczyków. Przewaga Japonii na dalekim Wschodzie może już być sprawą niewielu lat. A o przewadze państw europejskich nad Oceanem Spokojnym można już dziś przestać mówić.



Cel! Pa! Wojsko chińskie w zasadzce.



New-Island w cztery miesiące po wyłonieniu się z głębin morskich.

WSPY ZNIKAJĄCE.

Zjawisko, o którym mowa w artykule niżej, jakkolwiek bardzo ciekawe, nie jest bynajmniej wyjątkowe, po raz to pierwszy jednak fazy jego uwidoczniło na płycie fotograficznej, budzi więc znów zajęcie żywe.

Najbardziej znanym i najlepiej zbadanym, ze względu na to, że zdarzył się w okolicy, uczęszczanej przez liczne okręty, przykładem tego zjawiska było pojawienie się, a następnie zniknięcie wyspy Ferdynandy albo też Julii.

Dnia 8 lipca 1831 r. brygantyna „Il Gustavo” płynęła u brzegów południowo-zachodnich Sycylii, na wysokości miasteczka Sciacca, gdy załoga jej ujrzała, wśród huku piorunującego, podnoszący się z morza słup wody wysokości do 30, szerokości zaś od 40 do 50 metrów. Zjawisko trwało 10 minut, poczem znikło, powtarzało się jednak następnie co kwadrans bez zmian jakichkolwiek. Na powierzchni morza, bardzo wzburzonego i okrytego pianą rdzawą, ukazało się mnóstwo ryb, zabitych przez wybuch, a gęsta chmura sina zasłoniła widnokrąg.

W dwa dni później kapitan tego samego statku widział znów wybuch tajemniczy. Tym razem jednak słup wody był niższy, sięgał bowiem 20 metrów wysokości, objętość za to jego wynosiła do 800 metrów.

Gęsta mgła nie pozwoliła mieszkańcom Sciacci śledzić faz tego zjawiska, lecz już dnia 28 czerwca lekkie uderzenia podziemne zwróciły ich uwagę. Dnia 12 lipca uczuł silny zapach siarki w powietrzu i ujrzeli na morzu, w pobliżu brzegu powłokę drobnych, czarnych żużli, która niebawem dosięgnęła 10 centymetrów grubości.

Dnia 13 lipca pojawił się na pełnym morzu słup dymu, i słychać było huk częsty wybuchów, wieczorem zaś słup nabrał barwy ognistej, wśród chmur zaś, które się nad nim utworzyły, połyskiwało światło błyskawic.

Wreszcie dnia 18 lipca ujrano na morzu, w miejscu gdzie widniał przedtem dym i ogień, skałę wysokości 4 do 5 metrów. Z każdym dniem powierzchnia jej zwiększała się, tak że w końcu utworzyła wysepkę objętości 1,400 metrów ze szczytem, sięgającym 70 metrów wysokości.

W trzy miesiące później wyspa, której zdano już nadać kilka nazw, a między innymi Ferdynandy i Julii, i o której posiadanie wiedli już spór Włosi z Anglikami, zaczęła powoli zapadać się w morze. W styczniu 1832 r. miejsce jej istnienia ujawniło się jeszcze wzniesieniem na dnie morskiem, lecz w 2 lata później najskrupulatniejsze sondowania nie wykazały już żadnej zmiany w poziomie dna morskiego.

Drugi taki wypadek obserwował pod koniec XVIII wieku Aleksander Baranow, ówczesny gubernator posiadłości rosyjskich w Ameryce Północnej, podczas podróży inspekcyjnej wśród wysp Aleuckich.

Dnia 1 maja 1796 r. gwałtowna burza zapędziła okręt Baranowa do jednej z zatok wyspy Umnak.

Burza—pisze Baranow—trwała dwa dni. Niebo było bardzo ciemne, i rozlegał się wciąż huk głuchy, podobny do grzmotów.

Trzeciego dnia wyjaśniło się niebo, i ujrzeliśmy płomień, dobywający się z morza pomię-

dzy wyspami Umnak a Unalaska. W ciągu dni dziesięciu dym gęsty rozpościerał się na niebie w kierunku północnym, poczem uniósł się z morza olbrzymi słup biały. Nocy, która nastąpiła po dniu jedenastym, płomień stał się tak jasny, że rozróżnialiśmy wyraźnie wszystkie szczyty w okręgu wiorst kilkunastu. Trzęsienie ziemi, połączone z hukem przerażającym, nawiedziło Unalaskę, a odłamy skał wulkanicznych padały aż na wybrzeża Umnaku.



New-Island w chwili zwiedzania jej przez Roberta Dunna.

Ze wschodem słońca ucichła

wizawa, ogień przygasł, i pojawiła się nowa wyspa pod postacią stożka czarnego. Ochrzciliśmy ją imieniem Jana Ewangelisty. W ciągu następnego miesiąca, nie przestając wyrzucać płomieni, zaczął unosić się z niej dym i para.

Nową wyspę zwiedzili dopiero w 1804 r. poławiacze fok. Wybuchy dymu ustały już wówczas, ale woda morska dokoła wyspy była jeszcze ciepła, grunt zaś w niektórych miejscach tak gorący, że przepalał podeszwy butów. Objętość wyspy wynosiła 4 kilometry, a szczyt jej najwyższy wznosił się na 117 metrów ponad powierzchnią morza.

W 1806 r. zauważono tam wybuch lawy, a w 1823 r. podróżnik Wenjaminow stwierdził, że wyspa przybrała kształt piramidalny, szczyt zaś jej dosięgnął 500 metrów wysokości.

Do 1883 r. Jan Ewangelista wznosił się samotnie pomiędzy Umnakiem a Unalaską, w roku powyższym jednak załoga parowca „Dora” zauważyła wznawienie się zjawisk wulkanicznych w tych stronach, w kilka zaś miesięcy później poławiacze fok donieśli o utworzeniu się nowej wyspy w kierunku północno-wschodnim. Zdaniem ich, nowy ten kawałek lądu posiadał objętość 1,200 metrów, wysokość zaś od 200 do 250 metrów.

Następnego roku odwiedził wyspę parowiec rządu Stanów Zjednoczonych, „Grewingk”, i nadał jej swą nazwę. W roku tym posiadała szczyt w kształcie kopuły. W 1891 r. kopuła znikła. W 1895 r. unosiły się tam jeszcze kłęby pary.

Jednocześnie prawie znajdująca się pomiędzy Janem Ewangelistą a Grewingkiem wysepka, zwana Ship Rock, znikła z powierzchni morza, w dzień jednak lat później na miejscu jej wyrosła nowa wyspa.

W czasie zimy 1904—5 roku krajowcy, zamieszkali na wyspie Umnak, donieśli do Unalaski, że w okolicach Jana Ewangelisty tworzy się ląd nowy, ale poławiacz wydr morskich, Samuel Applegate, zwiedzając te okolice w 1906 r., stwierdził, iż wiadomość krajowców jest nieprawdziwa, to też, gdy na wiosnę roku następnego Aleuci znów przynieśli wiadomość o nowej wyspie, urzędnicy amerykańscy na Unalascie nie dali już temu wiary. Tem się tłumaczy, że ciekawego zjawiska nie zbadano w czas pod względem naukowym.

W ciągu ostatnich dni marca r. z. kapitan parowca przybrzeżnego „Bear”, Edward Lee, znajdował się pewnego ranka jasnego pomiędzy wsiami Czernowską i Kaszegą u wybrzeży południowych Unalaski, gdy spostrzegł w kierunku Jana Ewangelisty zjawisko, które wziął za silną śnież-

cę. Nie przerywając podróży, Lee udał się na cypel południowy wyspy Umnak, skąd zabrać miał trzech strzelców, polujących na lisy, a których zostawił był tam w roku poprzednim. Strzelcy ci opowiedzieli kapitanowi, że przed dwoma tygodniami słupy dymu i pary wznosiły się z morza w kierunku Jana Ewangelisty.

Z dat powyższych wynika, że nowa wyspa pojawiła się około dnia 15 marca.

Dnia 20 kwietnia Samuel Applegate znów przepływał skuterem swoim w pobliżu Jana Ewangelisty i zauważył olbrzymie kłęby pary, nie mógł jednak z powodu mgły gęstej dostrzedz nowej ziemi. Odkrycie to przypadło w udziale kalifornijskiej wyprawie naukowej, która na parowcu „Albatros” podpłynęła dnia 29 maja tak blisko do nowej wysepki, że mogła określić jej położenie i zarysy.

Dnia 2 czerwca żeglarz nazwiskiem Diercks usiłował tam wylądować, nie mógł wszelako przepłynąć pasa wracej wody, okalającego wyspę. Tego samego dnia gwałtowne trzęsienie ziemi wywołało popłoch wśród mieszkańców Unalaski. Wreszcie dnia 5 lipca oficerowie rządowego parowca amerykańskiego, „Perry”, wylądowali na wybrzeżach wyspy, nie dokonawszy jednak żadnych obserwacji naukowych. Nie usiłowali także wdrzeć się na szczyt skalisty, wznoszący się na niej. Dokonał tego Robert Dunn, uczony amerykański badacz zjawisk wulkanicznych.

W towarzystwie kapitana Lee i Aleuty, służącego za pilota, Dunn wylądował na nowej wyspie, nazwanej już New Island, dnia 29 lipca i rozpoczął natychmiast obserwacje.

Zabarwiona solami żelaza woda dokoła wyspy miała barwę jasno-pomarańczową, ciepłota zaś jej dochodziła do 92° Farenheita. Stożkowate słupy pary wznosiły się ze szczelin ziemi. Cisza głęboka panowała wszędzie.

Wybrzeża okrywała warstwa odłamów skalnych barwy czerwono-purpurowej, a wielkości głowy ludzkiej. Odłamy, zalewane przez wodę morską, przybierały barwę jasno-pomarańczową. Powyżej wybrzeża leżały kamienie rozmiarów mniejszych, tworząc stopy, rozpadające się za dotknięciem stopy ludzkiej.

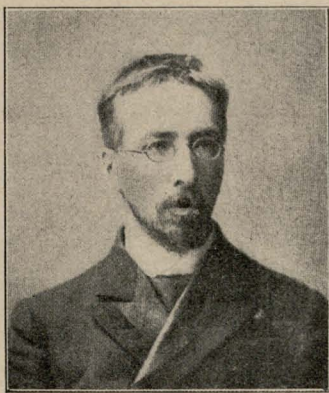
Poślizgując się i czołgając często na czworakach po tym terenie ruchomym, palącym mu dłoń, Dunn dotarł do gruntu bardziej stałego, tu jednak zagradzały mu drogę szczeliny obszerne, buchające gazami duszącymi.

W końcu, po dwugodzinnem drapaniu się również trudnym, jak niebezpiecznym, w każdej bowiem chwili groził badaczowi wybuch lawy, Dunn dosięgnął podstawy stożka niedostępnego, a wznoszącego się nad nim na 13 mniej więcej metrów. Barometr badacza wskazywał 116 metrów wysokości, cała więc wysokość wzgórza na wyspie dosięgała mniej więcej 129 metrów.

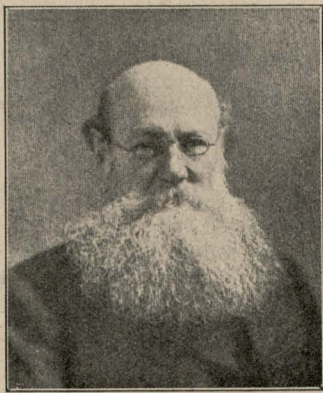
W kilka miesięcy potem druga wyprawa naukowa stwierdziła, że New Island zaczyna zanurzać się w głębinę morską, dnia zaś 15 października r. z. przepływający tamtędy parowiec amerykański widział już tylko niewielkie wzniesienie nad powierzchnią morza.

Morze zabierało swą własność. Mniej szczęśliwa, niż sąsiadki, New Island przechodziła w nicość.





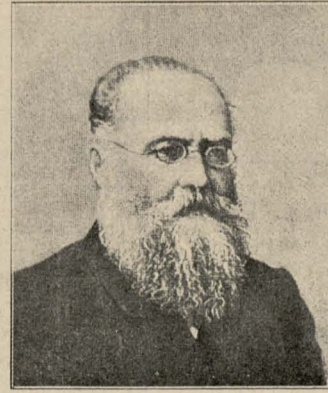
W. L. Burcew, oskarżyciel Azewa.



Piotr Krapotkin.

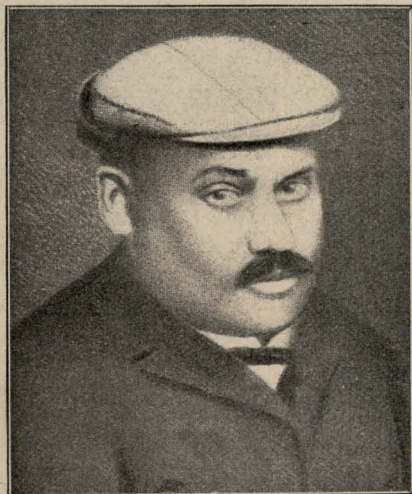


Wiera Figner.



Herman Łopatin.

CZŁONKOWIE KOMITETU REWOLUCYJNEGO, KTÓRZY OSĄDZILI AZEWA.

JEWNO AZEW,
prowokator i członek głównego Komitetu soc. rewolucjonistów rosyjskich.ALEKSY ŁOPUCHIN,
b. dyrektor departamentu policji w Petersburgu, zamieszany w sprawę Azewa i osadzony obecnie w więzieniu Kresty.

GENIUSZ POMYLONY.

Było to przed 31 laty, na parę dni przed Bożym Narodzeniem. W medyolańskim teatrze Santa Radegonda zebrała się liczna publiczność, aby podziwiać zapowiadany występ słynnego kantomimika, który sam miał odśpiewać wszystkie partye skomponowanej przez siebie opery. Sopran, bas i tenor w jednej osobie, przytem kompozytor i poeta, zaciekał wszystkich. Tłum oklaskami i tupaniem domagał się rozpoczęcia oczekiwanego widowiska; wreszcie kurtyna podniosła się, i na scenę wyszedł reżyser, który zakomunikował publiczności, iż Karol Hugo nie wystąpi, gdyż... przed chwilą umarł.

Pochowano go na medyolańskim cmentarzu. W tych dniach pomyśleli Węgrzy o sprowadzeniu do kraju zwłok tego dziwnego człowieka, którego nie wiadomo do jakiej narodowości zaliczyć, gdyż życie swoje rozdzielił prawie równomiernie pomiędzy Węgry, Polskę, Niemcy i Francję.

Urodził się przed stu laty, jako syn Bernsteina, „domowego Żyda” palatyna węgierskiego, arcyksięcia Józefa, i od najpierwszej młodości przechodził najróżnorodniejsze koleje i awantury, aż użył sławę obłąkanego geniusza.

Od małego dziecka płonął niepoohamowaną żądzą zostania aktorem, jednakże z równym zapalem studiował medycynę. Niezadługo miał już otrzymać doktorat, gdy nagle, ogarnięty sympatją do Polaków, śpieszy w roku 1830 do Warszawy, odbywa całą kampanię, a po upadku powstania wraca do Pesztu z przestreloną nogą i zdrowiem zupełnie zrujnowanem.

Narazie zabrał się do kontynuowania przerwanych studiów i wkrótce zajął obok Hahnemana poczesne miejsce wśród ówczesnych homeopatów, ale dawna miłość do sceny odżyła w nim bardzo prędko. Karol Hugo został aktorem, grał wszelkie gatunki ról i śpiewał wszystkie partye. W Peszcie było mu jednak za ciasno. Wyjechał tedy do Francji i Belgii, a stamtąd udał się do Hamburga, gdzie wydał tom bardzo ładnych i starannie opracowanych poezji p. t. „Pieśni tęsknoty starego wędrowca”. W parę miesięcy potem był już w Berlinie, gdzie z właściwym mu temperamentem chciał się zająć gruntownem reformowaniem sceny.

Dalszym jego etapem był Wiedeń, dokąd przybył, jako aktor Bern, aby starać się o przyjęcie do Burgtheatru. Tymczasem ordynował, jako lekarz-homeopata, i pisał mnóstwo sztuk, z pomiędzy których „Brutusa i Lukrecję” miano grać na wszystkich prawie scenach niemieckich. Niestety chciało, iż w tym samym czasie słynny Ponsard napisał i wystawił w całym świecie sztukę o podobnym temacie p. t. „Lucrèce”. Karol Hugo spóźnił się nieco.

Wkrótce potem wydał Hugo oryginalne w założeniu i zgrabne nadzwyczaj w ujęciu „Psalmy biednego poety”. Z każdym dniem zyskiwał Karol Hugo coraz większą sławę, ale ta nu już nie wystarczała. Peszt

i Węgry były dla niego stanowczo za małe. Wyruszył do Paryża, gdzie zetknął się z Mickiewiczem i całą emigracją polską, z którą utrzymywał nadzwyczaj przyjazne stosunki. Zajął się nim bardzo serdecznie Jules Janin i dopomógł do zajęcia znacznego stanowiska w ruchliwym paryskim świecie artystyczno-literackim.

W roku 1858 spotykamy Karola Hugo znowu w Peszcie, w rok później w Berlinie, gdzie z niezwykłym powodzeniem grają jego sztukę, „Kupiec z Marsylii”. To powodzenie było przyczyną jego nieszczęścia. Nawiedziła go straszna choroba, zwana manią wielkości. Karol Hugo począł uważać wszystkich poetów i aktorów za zera, siebie zaś nazywał księciem wieszczów, nie tylko w listach i rozmowach prywatnych, lecz także podczas publicznych wykładów, które tak prasę, jak i słuchaczy, wprawiały w wesoły nastrój i były źródłem ustawicznych kpín i żartów.

Choroba nie uznanego geniusza przemieniła się bardzo prędko w manię prześladowczą. Na każdym kroku widział zawiść konkurencyjną, obrażało go wszystko; stronił przeto od ludzi pióra i pogardzał nimi. Wreszcie odpuścił im winy w „Edykcje amnestyjnym dla nieprzyjaciół”, ale niezadługo zgromił ich znowu w pamflecie, wydanym p. t. „Karol Hugo Amber Bernstein, jako ukarany geniusz”. Ten produkt jego pomieszanych myśli był jednym wielkim policzkiem, wymierzonym rozmaitym wielkościom niemieckim. Było tam nawet sporo prawdy, i temu zapewne przypisać należy, że prokuratora berlińska, zamiast wytoczyć mu proces, rozgłosiła, iż znany psychiatra Casper uznał Karola Hugo za chorego umysłowo.

Od tego czasu nasz poeta stał się wprost śmiesznym. Obok głęboko filozoficznych artykułów, jakie pisywał w swem piśmie *Die Fuchtel*, występował niejednokrotnie z tak dziwaczными pomysłami, iż wkrótce garstka jego zwolenników stopniała zupełnie, a jego samego nikt już nie brał na seryo. Wreszcie wziął się do urządzania swych słynnych, auto-i kantomimicznych przedstawień, z którymi jeździł po całej Europie, aż do czasu, gdy nagła śmierć na scenie medyolańskiej przerwała pasmo gorączkowego życia obłąkańca.

Całe to życie było stwierdzeniem hipotezy Lombrosa, iż geniusz jest zjawiskiem nawskroś patologicznem.

Karol Hugo miał przy swem szaleństwie dosyć czasu, aby w historii literatury węgierskiej zająć miejsce wcale poczesne, to też Mądziarzy obchodzą uroczyste stulecie jego urodzin.

Dla nas ma on znaczenie dobrego przyjaciela, który tak w swej młodości, jako też i później, zajmował się szczerze wszystkim, co nas obchodziło, a wiarę w dobro sprawy polskiej przypieczętował krwią swoją.

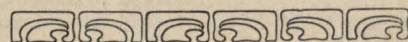
C. ŁUKASZKIEWICZ.

Budapeszt.



Karol Hugo.

Szanownych prenumeratorem „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na rok bieżący.



Juliusz Słowacki w Poznaniu.

Celem założenia konfederacji własnego pomysłu przybył z kilkoma emigrantami Słowacki 10 kwietnia 1848 r. do Poznania i przez Moraczewskich umieszczony został w domu d-ra Ludwika Gąsiorowskiego, a w mieszkaniu Augusta Bukowieckiego, majora wojsk polskich, na pierwszym piętrze przy Piekarach pod numerem dawniej 12, dzisiaj 16. O pobycie Słowackiego u zaciej rodziny Bukowieckich podał pierwszą obszerną wzmiankę syn Augusta, Julian, późniejszy redaktor *Wielkopolanina*, w *Dzienniku dla kobiet* z d. 22 stycznia 1881 roku, podówczas młody gimnazysta szkoły św. Maryi Mgdałeny.

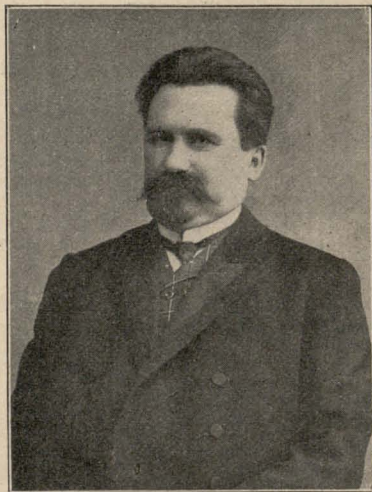
Z opisu tego, który dzisiaj wszedł już w skład kilku literatur i monografii

współczesnych, warto chociażby przypomnieć, że dziwnym zbiegiem okoliczności ranny pod Berezyną August Bukowiecki zawieszony był przez kolegów do Wilna i oddany pod opiekę ojczymowi Juliusza, drowi Bécu, który obszedł się z nim tak okrutnie, iż wyrzucony do zimnej stajni major odmroził sobie obie ręce i nogę, które później amputowano. Spytany przez Słowackiego o przyczynę kalectwa, tak bolesną dla poety dał odpowiedź, że ten już do wyjazdu zamknął się w swoim pokoju, stał się milczącym i ponurym. Dopiero na wyjeździe do Wrocławia przyznał się Bukowieckiemu do powinowactwa z drem Bécu i ofiarował mu biblię z odpowiednim przypiskiem. Książka ta, oraz list, który później pisał do Augustowej Bukowieckiej z Paryża, znajdują się w muzeum im. Mielżyńskich w Poznaniu.



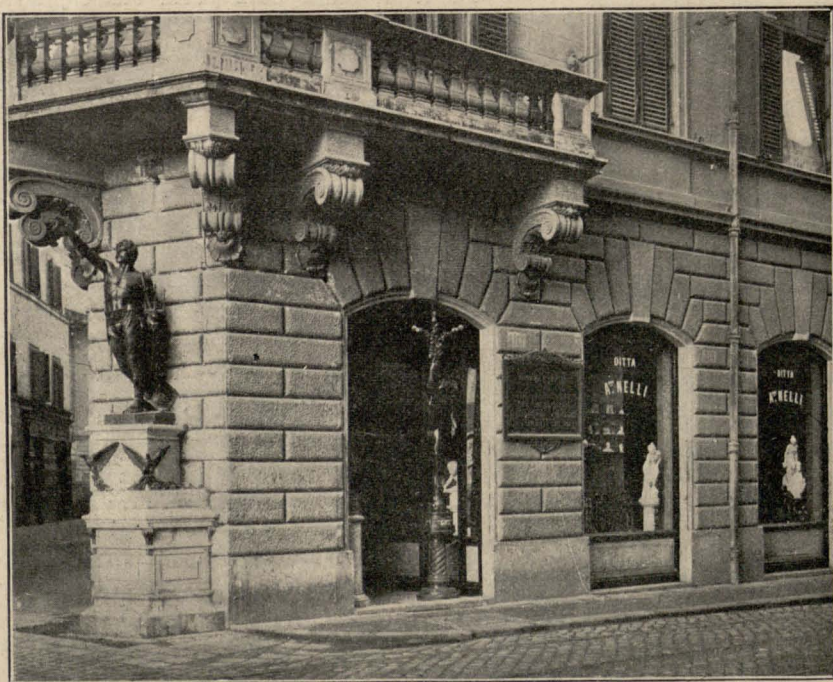
Dom w Poznaniu przy Piekarach Nr 16, w którym na I-m piętrze mieszkał Juliusz Słowacki od 10 kwietnia do 8 maja 1848 r.

Z CHWILI.



Generał Bazyli Aleksiejew, skazany przez sąd wojenny na usunięcie ze służby i na karę 10,000 rub. ewentualnie rok więzienia.

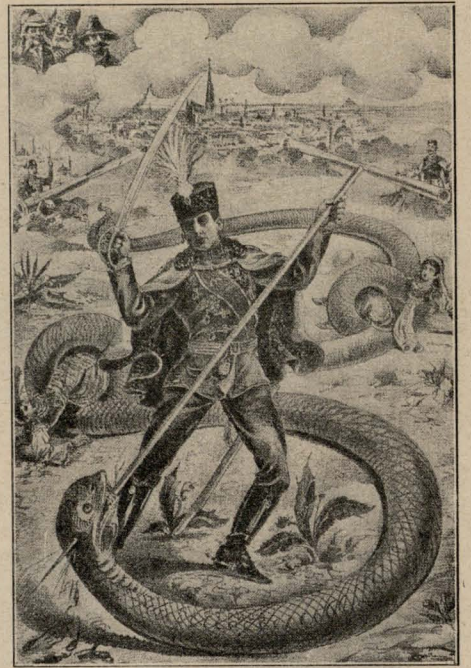
T. J.



WYSTAWA WŁOSKIEJ ODLEWNI BRONZÓW. Na rogu ulicy Babuino i placu Hiszpańskiego w Rzymie urządziła znana firma A. Nelli, posiadająca swoją odlewnię bronzów na Zatybrzu, wystawę własnych wyrobów, przyczem, jako odznakę dla tej wystawy, umieściła na rogu domu znanego „Gladiatora” Piusa Welońskiego, który, tak jak i posąg Ad. Mickiewicza T. Rygięra, został w jej zakładach odlany. Właściciel zakładów, ś. p. A. Nelli, umarł przed sześciu laty w Warszawie, dokąd jeździł dla urzędzenia odlewni Welońskiego, z której wyszły znakomite utwory stacyi Męki Pańskiej w Częstochowie. D.

Serbski św. Jerzy.

Postawa wojownicza, zajęta przez serbskiego następcę tronu, ks. Jerzego, wobec zatargu Serbii z Austro-Węgrami o aneksję Bośni i Hercegowiny, zjednała mu żywą sympatyę wśród Serbów, w których wciąż jeszcze odzywa się krew gorąca tych junaków, co walczyli wieki całe o niepodległość ziemi swojej. Dowodem sympatii tej jest rozpowszechniony w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy po całej Serbii obrazek, przedstawiający ks. Jerzego w roli świętego swego imiennika. Ów serbski św. Jerzy przebija dzidą łeb smoka „Austrii”, duszącego w splotach swoich dwie dziewczoje: Bośnię i Hercegowinę. Na drugim planie Turek i Czarnogórzec walą z dział do Becza, t. j. Wiednia, w obłokach zaś Anglia, Rosya i Włochy przyglądają się temu widowiskowi.



SERBSKI ŚW. JERZY.

Magnacka fundacja.

Dn. 9 b. m. przyniósł telegram z Krakowa wieść o milionowym zapisie zmarłego przed dwoma dniami ś. p. Erazma Jerzmanowskiego, na rzecz Akademii Umiejętności: nieboszczyk legował tej najwyższej w kraju instytucji naukowej milion dwieście tysięcy koron, od których odsetki będą przyznawane corocznie za najlepsze dzieło polskie, naukowe, literackie lub humanitarne.

Drugi zapis—50,000 rubli—utrwała byt ochronki Nr. 33 w Warszawie. Nie świetny rodem i zasługami przodków utytułowanych, poczuł się zmarły jednak do obowiązku złożenia na ołtarzu dobra powszechnego znacznej części swej, zdobytej za oceanem fortuny.



Erazm Jerzmanowski.

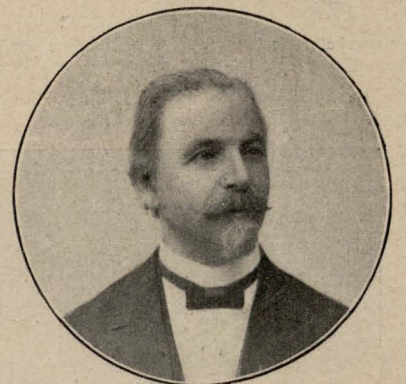
Jak niezwykle jest ten zapis, tak dziwne były koleje życia tego człowieka. Urodzony w r. 1844 w Tomisławicach. w gub. kaliskiej uczestnik powstania styczniowego, obrońca Paryża w r. 1871, emigruje do Ameryki, wysłany przez kapitalistów francuskich dla zbudowania fabryki gazu w mieście Buffalo. Umysł przedsiębiorczy i energiczny, wyzyskuje z niestychanym powodzeniem swój własny wynalazek, uproszczający wytwarzanie gazu oświetlającego, zakłada gazownię w kilkunastu miastach, zdobywa, jak *businessman* amerykański, wielką fortunę. Ale nie używa jej wyłącznie dla siebie: jak Carnegie drugi, szczerze obsypuje instytucje użyteczności publicznej w kraju i na emigracji. Wreszcie przypieczętował tę swoją ofiarności wielkim zapisem pośmiertnym.

Gdybyż przykład ten znalazł u nas naśladowców! Gdybyż każdy, w miarę

sił i możliwości, przyczyniał się, tak jak on, do podniesienia kultury narodowej! Boć instytucje naukowe i społeczne—to kultury tej świadectwa najwymowniejsze.

ZMARLI.

LUDWIK FITKAŁ, jeden z najstarszych sędziów polskich, były radca prokuratury Królestwa Polskiego, wieloletni kurator szpitala św. Ducha,



urodzony w r. 1824 w Warszawie, członek czynnego umysłu i wielkiej prawości charakteru.

Redakcyjnego kolegę naszego, Henryka Gallego, dotknęła ciężka strata: mianowicie zmarła w 72 roku życia matka jego ś. p. NATALIA z CYTWCÓW GALLOVA, wdowa po znanym kupcu i obywatelu m. Warszawy, ś. p. Franciszku. Dotkniętemu tym bolesnym ciosem współtowarzyszowi pracy przesyłamy serdeczne wyrazy gorącego współczucia.

BENEDYKT KONSTANTY COQUELIN, znakomity aktor francuski, ur. w roku 1841, od roku 1850 członek trupy Komedyi francuskiej, autor kil-



ku utworów specjalnych, brat starszy również znakomitego aktora, Ernesta Aleksandra Honoryusza, zwanego powszechnie Coquelinem młodszym, który również umarł przed kilku dniami.

REKLAMY

KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,
przeszła na własność
GEBETHNERA i WOLFFA.



Zamek wiśnicki od północy.

Zamek w Wiśniczu.

Rozpadają się w gruzy i niszczeją nasze stare zamczyska — świadkowie dawnej potęgi, siły i swawoli. Wartka fala czasu i apatyczna bezsilność wielu pokoleń późniejszych obrały już naszą ziemię z tych szanownych i dumnych „castelów“ i „rezydencji,” które, niby powalone słupy przydrożne, znaczą szlak naszych dziejów i zygzak naszego rozwoju. Bezczenne bogactwa tych zamczysk rozwiął huragan dziejów po bezkresach niepamięci. A nagie ściany, potężne bastiony i wieże rozsypują się w gruzy i proch.

Próbę straszliwych czasów i straszliwszego jeszcze upadku narodowego niewiele tylko zamczysk tych wytrzymało. Tem też droższymi muszą być dla nas te, które zostały. Z tem żywszem też uznaniem witać należy tych, którzy nie szczędzą trudów i kosztów, aby te sędziwe a szanowne resztki przed zglądą ocalić i następnym, może przecie szczęśliwszym pokoleniom przekazać.

Z takim uznaniem powitać należy fakt, że rodzina książąt Lubomirskich postanowiła własnym sumptem i zachodem odnowić stary książąt Lubomirskich zamek rodzinny w Wiśniczu, koło Bochni, żadnego w tem innego celu nie mając, jak tylko szlachetny pietyzm wobec starożytnej siedziby swego rodu.

Zamek wiśnicki, o którym już w 1242 kronika wspomina, należał pierwotnie do Kmi-



Kaplica zamkowa w Wiśniczu.

tów, od których przeszedł na własność Lubomirskich. Niegdy potężna warownia, przemienił się zamek wiśnicki, zapewne na początku w. XVI-go, w rezydencję magnacką, przewyższającą przepychem wszystko, cokolwiek wówczas się znajdowało i do dziś się z owych czasów w okolicach Krakowa dochowało. Dość powiedzieć, że zamek królewski na Wawelu, mimo państwowego swego znaczenia i mimo wielkości i mnogości komnat, nie może równać się z wiśnickim pod względem kunsztowności i bogactwa, z jakim dumni możnowładcy wiśnicy siedzibę swą urządzili.

Właściwy zamek mieścił się w obrębie fortyfikacji, którymi otoczono pięciokątny, star-

rannie splantowany szczyt pagórka, o stokach, wzmocnionych silnymi ciosowymi podmurówkami. Dziś jeszcze widać, że nie była to twierdza, budowana wedle najnowszych ówczesnych wymagań sztuki z matematycznie obli-



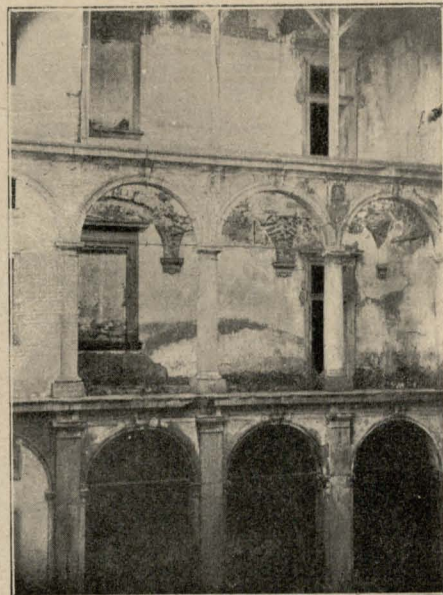
Brama wjazdowa na zamku w Wiśniczu.

czonymi i ustosunkowanymi do siebie bastyonami, z pochyłymi przedpiersiami wałów, z mnóstwem kazamat podziemnych i t. p.

Wjazd na dziedziniec forteczny prowadził przez szeroką bramę z ciosowego kamienia, bardzo szlachetnie pomyślaną i doskonale przechowaną, jak to widać na rycinie. Tablica marmurowa, wmurowana w atykę bramy, nosi napis łaciński, poświęcony pamięci fundatora zamku obronnego, Stanisława Lubomirskiego.

Sam pałac, przedstawiający resztki gotyku, przerobiony na początku XVI wieku na budowę renesansową przez architekta Matiasa Trapolego, obfituje jeszcze dziś w mnóstwo bardzo ciekawych i cennych architektonicznych i zdobniczych szczegółów. Resztki wspaniałych ongi schodów, bajeczne odrzwia i obramienia okien z czerwonego marmuru lub ciosu, wreszcie piękna, ale, niestety, bardzo zniszczona kolumnada, otaczająca wewnętrzny dziedziniec pałacowy, świadczą o niezwyklej ongi wspaniałości tej siedziby możnowładczej.

Ozdobą całego kompleksu gmachów, stanowiących zamek wiśnicki, jest kaplica, zbudowana w stylu baroku niderlandzkiego. Na zewnątrz imponuje ona wysokością, wewnątrz zaś wspaniałą dekoracją kopuły, stosunkowo



Fragment dziedzińca arkadowego na zamku w Wiśniczu.

dość dobrze dochowanej, pozwala domyślać się, jak musiała ta kaplica wyglądać dawniej, kiedy na przestronnym dziedzińcu rojno jeszcze było i gwarno od wielkopańskich orszaków.

Zamek wiśnicki, jak wszystkie wogóle zamki w Polsce, padał kilkakrotnie ofiarą wojen i nieprzyjacielskich najazdów. W roku 1655 zdobyli go Szwedzi, zabierając zeń mnóstwo broni, armat i 150 wozów drogocennych łupów. W czasie konfederacji barskiej zaś zajmowali go Rosjanie. Do r. 1780 mieszkała jeszcze w zamku marszałkowa Lubomirska. Po jej śmierci sprzedany zamek ten opustoszał, a w r. 1850, spłonawszy, zaczął rozsypywać się w gruzy.

Wreszcie rodzina Lubomirskich odkupiła stare swoje rodzinne zamczysko od spekulantów i obecnie doprowadziła do tego, że, po naprawieniu kazamat i przykryciu zamku nowym dachem, nie grozi mu już dalsza zmiana, Lubomirscy jednak nie zamierzają — jak słychać — poprzestać na tych najkonieczniejszych reparacjach. W ostatnich czasach odbył się zjazd członków tej rodziny, na którym miano rozdzielić pomiędzy siebie koszty i powziąć plan całkowitej restauracji tego pięknego zabytku dawnego budownictwa polskiego. Po odrestaurowaniu, zamek miałby służyć jakimś celom publicznym. □

HENRYK ZBIERZCHOWSKI.

KWIATY.

Błogostawiona dusza Twa, mej duszy bratnia,
Błogostawione słodkie ust Twoich kielichy,
Błogostawiony smutek szary, łzawy, cichy
Godziny, która dla nas wybiła ostatnia.

Błogostawione lica Twe, zalane łzami,
Błogostawione dłonie, drżące w mojej ręce,
I oczy Twoje, wbite w ciemność w strasznej męce,
Gdy raz ostatni głuchły kroki me za drzwiami.

Bo łyzy Twe duszy mojej dały plon bogaty,
Jak piosnki, które matka nuci mi nad kofyską,
Padły na mego serca puste cmentarzysko —
I rozkwitnęły się w przedziwne, białe kwiaty.

I taką radość życia duszy mojej niosą,
Że już nie lękam się przeznaczeń losu ślepych —
Bo tylko wtedy skończy się tych kwiatów przepych,
Gdy przyjdzie po nie błada śmierć z błyszczącą
kosą.



Pokazać grubą rybę! wołał pan Apolinary...

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

U N I A

POWIEŚĆ LITEWSKA.

7)

Zastrzega się prawo przedruku.

Rybacy pchali teraz łódź z wielkim wysiłkiem wzdłuż łądu, skracając ciągle korbą linę niewodu. Wreszcie jeden wyszedł na brzeg i włókł za sobą łódź na powrozie.

— Trzeba im ulżyć—rzekła Aldona—wysiądźmy.

Kazimierz zgrabnie skoczył na brzeg, chwycił za powrót z rybakami i przyciągnął łódź na twardy łąd. Aldona mogła już wysiąść suchą nogą.

Znaleźli się pośród lasu na półwyspie. Czy przyroda zasiała ten las, czy go zasiał niegdyś który z Budziszów, dziedziców Wiszun—już zapomniano we dworze. Ale ponieważ ten wielki bukiet drzew był ograniczony przez wodę, a z łądem stykał się tylko wązkim pasem mokrej łąki; ponieważ nie tknęła pni jego siekiera, a murawy ani kosa, ani graca ogrodowa—była to niby próbka puszczy, rzucona pośród jeziora. Łądując z łodzi, wpadało się bezpośrednio w gęstwinę pierwotną, tak spletaną i ciemną, że ogarniała wchodzącego atmosfera bajek, a jeżeli był myśliwym, przecucie, że można się tu spotkać z gniazdem wilczem, z ptakami nieznanymi kształtów i wielkości. Według podania gnieździły się tu przed laty białe czaple, których pióro kołpakowe kosztowało dukata. Dzisiaj, gdy już

kołpaków nie noszą ludzie, nie zlatywały i białe czaple na ostrów. Ale lada rok mogły powrócić, bo ostrów był przygotowany wybornie na ich przyjęcie: wierchołkami drzew dosięgał szlaku wysokich kluczków powietrznych, a gąszczem nieprzebytym osłaniał łąg i zasadzki na ryby.

— Macie tu państwo piękny kraj—mówił Kazimierz—taki młody!

— Ale dla pana, widzę, niesympatyczny?

Kazimierz szeroko otworzył oczy:

— Skądże pani to wnosi?

— Tak... pan przywykł zapewne do miast...

— Owszem, urodziłem się na wsi, mieszkam głównie na wsi.

— W takim zaciszu, jak my tu mieszkamy, nie potrafiłby pan zapewne długo pozostać?

Na zapytanie podobne odpowiada zwykle człowiek dobrze wychowany gorącą pochwałą kraju i mieszkańców. Jednak nad takim jeziorem, w tej ciszy leśnej słowa zwyczajne mogłyby paść, jak na struny, rozdźwięczyć się; nastrój był jakiś obowiązujący. Więc Kazimierz, pomyślawszy niedługo, odpowiedział żartobliwie:

— Ne żynu, panitia.

— Oj, jak szybko nauczył się pan po litewsku!

Twarze rybaków zwróciły się od łodzi, uśmiechnięte na dźwięk mowy rodzinnej z ust nieznanego. Holowali łódź, brodząc przez trzciny. Nieco wyżej, po suchym już lesie, ciągnęła się wązka drożyna wzdłuż brzegu. Aldona poszła po niej pierwsza, za nią Kazimierz.

Co parę kroków zagradzały ścieżkę krzewy różne, dające bujnemi odroślami do światła i wody. Aldona dawała czasem nurka pod wystające gałęzie, a czasem odgarniała je rękami i oglądała się za siebie, czy, puszczając nagięte, nie ugodzi w idącego za nią Kazimierza.

— Niech pani puszcza gałęzie, już ja się obronię.

Spotkali po drodze krzak, opleciony całą plejadą kwitnących powojów, naniesionych tu zapewne z dworskiej góry. Aldona przystanęła i narwała garść barwnych kielichów.

Idąc dalej, upuściła jeden kwiatek, potem drugi i trzeci. A gdy zatrzymali się, aby nie wyprzedzić powoli wlokącej się łodzi, Aldona spojrzała na ręce i ubranie Kazimierza, spodziewając się ujrzeć przy nim rzucone kwiaty. Nie podniósł.

— Nieuważny, czy nieczuły?—myślała, postępując dalej.

Minęli gaj i wchodzili na niską łąkę, po której od jeziora rozrastały się wysokie miecze ajeru. Pod nogami ugiął się grunt mszysty, rudawy; chrupała soczysta kostka, pasorzyt łąk mokrych, a ślady poczęły napływać mętną wodą.

— Trzeba sięść do łodzi. Już my wyciągniemy ją i z panienką na suchy brzeg—namawiał rybak po litewsku.

I podawał rękę do pomocy, bez wszelkiej unizoności, jedynie przez uprzejmość i obawę, aby panienka nóg nie zamoczyła.

Aldona wsiadła do łodzi. Kazimierz tymczasem, z widoczną wprawą i zwinnością, pobiegł przez łąkę, skacząc z kępy na kępę, aż wydostał się na brzeg twardy, który łąwą zwiru spływał ku jezioru. Nieopodal już stamtąd stała druga łódź na kotwicy.

Spojrzał na Aldonę uśmiechniętą, siedzącą na najwyższym brzegu łodzi, wleczoną przez dobrowolnych niewolników, niby w tryumfie jakimś sielskim. Zbierała w sobie radość krajobrazu, urodzona z jeziora, tchnąca jego słodkim spokojem.

W tej chwili ujrzał od strony dworu obraz innego zgoła stylu. Ze stromych wzgórz parkowych staczała się grupa pana Apolinarego z panią Antoniną. Ona, z białą chustką na głowie, macała ostrożnie nogą spadzistą ścieżkę. On, o krok niżej, w kapeluszu z piórem, z naprężoną łydką, udawał biegłego górala, ale i sam, podwójnym obciążony ciężarem, tracił chwilami pewność kroku.

Gdy się ujrzały obie pary nawzajem, mężczyźni zaczęli wywijać kapeluszymi, a panie powiewać chustkami. Aldona wysiadła na brzeg i stanęła obok Kazimierza, dumnie jakoś, radośnie, że się pokazuje obok niego w świetle pięknego dnia, w krasie rumieńców młodości. Poruszono się nieco na spotkanie mamy i wuja, i niebawem obie pary zeszły się nad jeziorem na miejscu, gdzie miano wyciągać sieć. Pan Apolinary spocony, zahukany jakiś i rozżalony, spoglądał na Kazimierza oczyma, które zdawały się mówić:

— Gdybyś wiedział, com wycierpiał tam na górze, podczas gdy ty... wy... tutaj...

Ale pociągnął świeżość jeziora i zatoił się w pociesze wyzwolenia.

Obie łodzie stanęły teraz jedna przy drugiej, utwierdziły się mocno na kotwicach przy brzegu, a czterej rybacy zgodnym wysiłkiem obu korb przyciągali szybko matnię, widoczną już nie tylko z powodu pławek. Razem z pławkami zbliżał się pas wody wzburzony, jakby miał zaraz zakiepieć: to z głębi jeziora szedł na powierzchnię dreszcz od miotania się ryb, ujętych w matnię.

— Dużo tego musi być, ale zapewne drobiazgu—rzekł Kazimierz—nie widać podskoków grubej ryby.

Jakby w odpowiedzi na tę wątpliwość rzucił się w tej chwili duży szczupak, ukazując aż nad powierzchnią czarno-srebrny skręt ślizkiego ciała. Chciał, widać, przeskoczyć przez górny kraj matni—ale opadł z wielkim pluskiem przed matnię.

— Nie ujdiesz, złodzieju!—zawołał Żumbakis.

Oczy starego Litwina, spokojne dotąd, jak jezioro, zaczęły błyskać, twarz mu się ożywiła chciwą zaciętością łowca, a wargi wydłużyły się pożądliwie. Inny młody rybak, płowy, jak len, otwierał nadmiernie usta i powzdychywał drapieżnie. Wszyscy zresztą, na łodziach i na lądzie, pochłonięci byli przez mniej lub więcej namiętne oczekiwanie.

Sieć, już bliska, gotowała się bałwanem. Podbierali rybacy już rękoma jej boki obmokłe, srebrzone gęsto uwiecznym w okach drobiazgiem wodnym: płociną, kielbkiem, kolczastą stynką, smaczną, choć małą, oklejącą, splamione tu i owdzie przez czarnego raka, trzaskającego konwulsyjnie ogonem o pancerz. Podbierali uważnie i przebiegle dolny kraj sieci, czyniąc z niej powoli wielki wór, pełen dobytku. Podnieśli go nareszcie nad wodę między dwoma dziobami łodzi. Zakotłowało się w sieci, skłębilo, zachlupało rozpaczliwie i rozgłośnie.

— Pokazać!... Pokazać grubą rybę!—wołał pan Apolinary do rybaków, którzy jęli kosztami czerpać ryby z sieci i rzucać je w łodzi na dno, po otworzeniu środkowych pomostów.

Były skrzelowatego rodzaju niezliczone odmiany: ciemne leszcze, ościste okonie, okrągłe i ślizkie piskorze, płaskie karasie i rozmaitych rozmiarów zboje wodne: szczupaki. Jednego z tych, herszta, chcieli rybacy okazać tryumfalnie; więc młody chłop zstąpił do wody, pochylił się nad siecią i całym wysiłkiem tęgich ramion wychwycił oburącz z kłębowiska ogromne cielsko szczupaka. Ważył zapewne ze trzydzieści funtów. Ale gdy go tak zdławionego podniósł do góry wśród aprobacyjnego szmeru zgromadzonych, chytry litewski rekin, udający omdlałego, skurczył się błyskawicznie w pierścień i runął w wodę. Na szczęście chytrzejsi litewscy rybacy podnieśli uprzednio wysoko brzegi sieci naokoło, i ogromny szczupak znalazł się napowrót w matni.

Ale rybak, który go trzymał przed chwilą, podniósł dłoń do ust, potem ją ogłądał i mruzczał ponuro:

— Ot, pies jaki!

— Ukąsiła go bestya!—zawołał z brzegu pan Apolinary.

Aldona wyjęła z kieszeni chusteczkę i podała ją do obwiązania ręki młodemu rybakowi. Ten przyszedł do niej, brodząc po wodzie, skłonił się wdzięcznie, przyjął chustkę, owinął nią zakrwawioną rękę i powrócił do roboty. Wyjął nóż z kieszeni, narychtował, a potem, schyliwszy się szybko nad siecią, zgnął mściwie nieprzyjaciela pod ziejące, krwawe skrzele.

Ubez władnionego potwora wrzucono do łodzi, a za nim sypało się przeróżnej zdojczy kosztów jakoby trzydzieści.

Dopisało „szczęście gości”.

V.

Ranek rozbłysnął równie pogodny, jak dni poprzednich, słoneczny, lecz przesiąknięty rzeźwym powiewem, jak ranki nad wielkimi wodami. Dwór wiszuński stał wyświeżony w świetle, śmiało się jezioro trochę zimno, drzewa gwarzyły w koronach. Nicby tego poranka nie odróżniało od wczorajszego, gdyby nie stroje mieszkańców Wiszun odmienne.

Dwaj Budziszowie chodzili wzdłuż domu, przybrani w długie, czarne surduty; w okolicy kuchni przelatywały pędem dziewczyny obute, w barwnych kieckach i kaftanikach. Jedne miały świeże kwiaty, wplecione w włosy, drugie głowy przykryte jedwabnymi chustami. Parobcy ukazywali się w pięknych kurtach najświeższej kowieńskiej mody i świecili butami, tłusto wysmarowanymi. A ochmistrzyni*), pani Mickiewiczowa (tak!), włożyła swą zieloną suknię i czekoladowy kapelus z piórem. Była bowiem niedziela.

Panu Apolinaremu służył wybornie klimat litewski, wzmagał w nim humor i apetyt. Do porannej, ze wszech miar mickiewiczowskiej kawy podawano takie półgęski, serki „dołowane” z kminem, szpekkuchy, że trzeba je było zakropić kieliszkiem przedniej „familijnej” starki, a po starce znowu przekąsić.

— Jem za dwóch, dobrodzieju mój, i czuję się lekkim! Prawdziwa kuracya po naszej polityce warszawskiej!

— To i chwala Bogu—odpowiedział Hieronim.

Ale pokrzepione zdrowie Budzisz koronnego nie objawiało się bynajmniej przez lenistwo sybarytyczne, owszem, przez przypływ pomysłowości.

— Muszę wygłosić w Wilnie ten odczyt o Unii, o którym ci już wspominałem, bracie Hieronimie. Rzecz jest zupełnie na czasie.

— Można—odpowiedział Litwin bez za pału.

— Trzeba, dobrodzieju mój! Jakże to zostawić bez silnej odpowiedzi te wszystkie napaści na Polaków? Co innego zajmować się ludem, jak twoje panie. Co innego pozwalać mówić po litewsku, komu wola, albo i drukować. Ale dawać sobie jeździć po nosie, słuchać obojętnie takich bredni, jak ten tam pisze, że myśmy Litwę oszukali i wyzyskali, że za Jagiełły Litwa była mocarstwem, a my roztrzęsioną, walącą się budą, że tak nam zależało na Unii, aż Jądwigę zmusiliśmy do bigamii—to za grube żarty, dobrodzieju mój!

— Wiadomo, grube, to też i nikt nie wierzy.

— Jeżeli nikt nie wierzy, dlaczego drukują i przedrukują tę bibułę z ciągłą naganką na nas?

— To oni tacy specjaliści. A myślisz, że to od ludu? Et!... Obacz nasz lud w Wiszunach!

(DCN)

*) „Ochmistrzynią” nazywają w Kowieńskim osobę, zarządzającą gospodarstwem kobiecym we dworze wiejskim. To, co w Królestwie „szafarka”.



G. W. JOHNSTON.

SIOSTRY.

— Czy nie zechciałabyś, siostrze, rozsnać trochę firanki? Ot, tak, dobrze. Teraz widzę już rzekę. Jakże jesteś pocziwa! Prawda, odpływ już się rozpoczął?

— Tak, kochana Maryo, odpływ już się rozpoczął.

— Doprawdy, droga Cecylia, nadużywam twej dobroci, ale zrób jeszcze i to dla mnie. Bo, widzisz, zsuwam się, zupełnie zsuwam z tych poduszek.

Panna Cecylia, drobna, jak pastereczka z porcelany drezdeńskiej, podreptała od okna ku łóżku staroświeckiemu o czterech słupach kręconych, podtrzymujących daszek, i mnóstwem uderzeń drobnych poprawiła poduszki, prześcierała białutkie i kołdry, jak również leżącą wśród nich drugą pastereczkę, czyniła zaś to wszystko tak szybko i zręcznie, że leżąca, zamiast utonąć wśród stosu poduszek i kołder, co zdawało się nieuniknione, znalazła się po chwili oparta wygodnie, a każdy kawałek koronki, każda wstążka na czepku i kaftaniku jej nocnym wyglądały tak świeżo, jak dopiero co wyprasowane.

* * *

Biedna panna Cecylia! Dziś taka już starszka, zwiędła, spracowana, a niegdyś tak inna,



Mało było panien tak nadobnych, jak panna Cecylia.

tak bardzo inna! Bo, zaprawdę, mało było panien tak nadobnych, jak ona, w starej mieścinie Georgetownu i okolicy, gdy rozeszła się tam wiadomość, że major Piotr Karol L'Enfant, dzielny szlachcic francuski, należący do orszaku Waszyngtona, po powrocie wodza tego z wojen do domu otrzymał rozkaz sporządzenia planów wielkiej stolicy kraju, która, jak spodziewali się panowie Waszyngton i Jefferson, wyłoni się kiedyś z moczarów i pagórków lesistych nad brzegami Potomaku, oraz że założą kwatery główną obok panny Cecylii i siostry jej, Maryi.

Co prawda, panna Cecylia nie dorównywała siostrze pod względem dowcipu i wesołości, czarowała za to dziewiczością pełną wdzięku, zaufania i nieśmiałości spokojnej; wielkim ukochaniem wszystkiego, co dobre, i serduszkim wiernym, bijącym w łonie białym, niewinnym. Któż odgadnie, jak bardzo serduszko to uderzało, niepokojem i ciekawością przejęte, i któż odgadnie, jak wiele innych serduszek drżało z niecierpliwości, gdy major L'Enfant przybył nareszcie do mieściny, przywożąc z sobą cały skład przyrządów z mosiądzu i szkła, ogromne role papierów i pergaminów, oraz mnóstwo rzeczy innych, i rozpoczął pracę w domku z cegły czerwonej, po dziś dzień zachowanym?

Najcudowniejszym wszelako przedmiotem, którym pan L'Enfant przywiózł z sobą — najcudowniejszym przynajmniej w oczach panny Cecylii, panny Maryi i wielu innych piękności Georgetownu — był porucznik Jan Wawrzyniec Maksym de Chalaron. Czy to w mundurze oficera inżynierii, czy też w jasno-brunatnym surducie, czerwonej kamizelce, nankinowych spodniach i w kapeluszu z błyszczącego filcu o skrzydłach wywinętych — młody ten jegomość miał postać niezmiernie ujmującą, to też, gdy wystrojony tak przechodził ulicami mieściny, wszystkie serduszka powyżej wspomniane uderzały jednocześnie tempem bardzo żwawem.

* * *

U szyi panny Maryi zwieszał się na cienkim łańcuszku złotym duży medalion, zawierający coś (panna Cecylia nigdy tego nie widziała), co bardzo już dawno temu wręczył jej ten sam właśnie porucznik de Chalaron. I gdy panna Cecylia po raz już dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty dnia tego usadowiła siostrę wygodnie wśród poduszek, panna Marya spojrzała na medalion i ujęła go ręką drobną.

— Ach, droga Cecylia — szepnęła, westchnąwszy — jakże piękny był, gdy w dźwięcznym języku swym ojczystym nazywał to namiętnością wielką! Jakże wspaniałym w zachwytach! Jakże przejmującym — w rozpacz!

Lzy pociekły z oczu wyblakłych panny Maryi, a w usiłowaniu odnalezienia chusteczki pod poduszkami omal że nie utonęła znów w ich stosie.

— Od chwili, gdy przybył z panem L'Enfant — mówiła dalej, znalazłszy chusteczkę i uniknąwszy chwilowo katastrofy — od pierwszego niemal dnia ujrzałam miłość w oczach jego. Och, jakże cudowne były te miesiące zwierzeń poufnych! Co za szczęście nieznanne napełniło mi duszę, gdy padł w saloniku na kolana, ofiarowując mi serce i rękę! Jakże kochał mnie gorąco i jakże ja miłowałam go serdecznie! Jakże błagał, w obawie, aby gniew ojca nie spadł na mnie, o zachowanie do czasu tajemnicy. Co za serce szlachetne! Jakże żegnał się ze mną, gdy powołano go nagle do Francji!

Tu panna Marya zalała się znów łzami.

Panna Cecylia pochyliła głowę. Każde słowo wspomnień tych umiała już na pamięć. Ileż to bowiem razy słyszała je w ciągu lat długich, męczących. Lecz płacz siostry kazał jej zapomnieć o wszystkim. Podreptała do łóżka.

— Nie płacz, siostrze, nie płacz — mówiła, całując ją i głaszcząc czule, jak dziecko chore, rozkapryszone. — Nie płacz. Ja wiem, co cierpisz, ale trzeba być silną i odważną.

— Dziękuję ci, droga Cecylia — przemówiła nareszcie uspokojona panna Marya — ale, zanim siędziesz, bądź tak dobra, rozsnać firanki jeszcze trochę. Tak, dobrze. Prawda, że to odpływ. Tak, odpływa woda i, gdy patrzę na ten prąd, ku morzu spływający, nie mogę, droga siostrze, powstrzymać się od pomyślenia, że może niejedna łąza moja spłynęła z nim razem do oceanu i przez ocean, aż wreszcie przedostała się hen daleko, by zwiłyć grób, w którym leży on na polach Marengo!

— Nie trap się, siostrze — uspokajała panna Cecylia, obejmując chorą czule rękoma — nie martw się, on ciebie tak kocha!

Ale panna Marya płakała, nie dając się pocieszyć...

* * *

I upływały tak dni długie za dniami i noce niespokojne za nocami, a panna Cecylia wciąż czuwała i pielęgnowała i pieściła siostrę, aż rano pewnego, gdy gwiazdy bladły, dzień switał, a woda rzeki spływała z szumem ku morzu — dusza panny Maryi uleciała, dążąc za łzami ku mogile kochanka...

Skoro minęły pierwsze chwile rozpacz, panna Cecylia powstała z kolan blada i drżąca, otworzyła medalion, spoczywający na łonie siostry, i ujrzała — dysząc ciężko — złożony w nim paperek. Zabrała go, podeszła do okna i w szarem, zimnym świetle świtu odczytała pismo. Następnie sięgnęła za gors, wydobyla maleńki woreczek zamsowy. Po chwili ukazał się w paluszkach jej drobnych taki, sam paperek, jak dobyte z medalionu siostry. Położyła je obok siebie na oknie i odczytała zwolna słowo za słowem. Oba brzmiały jednakowo zupełnie:

Bóstwo serca mego!

Pierwszy konsul nakazuje mi połączyć się z armią włoską. Jestem w rozpacz i obawiam się, aby łzy moje nie zmyły słów, które tu piszę.



Młody ten jegomość miał postać niezmiernie ujmującą.

Bądź wierna. Zachowaj tajemnicę naszą. Idę po sławę lub śmierć. Jeżeli przeżyję — wrócę, by złożyć serce u nóg twoich. Tymczasem żegnaj cię łzami i całusami. Przyjmij zapewnienia wierności dozone. Jeszcze raz: żegnaj!

Maksym.

Cecylia podreptała ku łóżku. Wyglądała starszej, mizerniej i smutniej, niż ta, która spoczywała tam w śnie wiecznym.

Łkanie rozdzierało jej piersi. Rzuciła się na zwłoki, objęła je rękoma i szepnęła:

— Przebac, o przebac mi, siostrze ukochana, to, com uczyniła. Ale musiałam, musiałam wiedzieć! Dotychczas byłam wierna, jak pies, tobie i — jemu. Dla ciebie tylko przez długie lata usta me milczały, i nigdy nie zdradziłam się przed tobą, że serce moje złamane jest także. Och, siostrze, droga Maryo, powiedz, którą z nas on kochał? Powiedz teraz, gdy z nim jesteś, gdy wiesz już wszystko. I przebac jemu, i przebacz mi także! Bo, siostrze, ja go tak kochałam, tak kocham go jeszcze.



Stary przemysł, stara firma. (Wywiad w fabryce C. SKORYNY)

W kraju rolniczym wskazanym, niejako przyrodzonym przemysłem jest młynarstwo.

Bywaliśmy od wieków śpichlerzem Europy, i mimo przemian i transformacji w czynnikach rozwoju ekonomicznego, rolnictwo nie przestało dotychczas zajmować naczelnego miejsca.

Wszystko więc, co do spotęgowania rolniczej dochodności pośrednio czy bezpośrednio służy, ma i trwałe podstawy rozwoju i na szczególną pieczę społecznym usiłowań zasługuje.

Jak wyżej zaznaczyłem, żaden z przemysłów tak bliskim, tak naturalnym sojusznikiem rolnictwa nie jest, jak młynarstwo.

I jeden z najstarszych to przemysłów naszego kraju. Rzecz prosta, że rozkwit jego w różnych czasach różnie się ujawniał, nie było jednak epoki, w którejby młynarstwo krajowe, korzystając z naturalnych bogactw ziemi polskiej, ze swego pierwszoplanowego stanowiska ustąpiło.

Duża w tem zasługa tych, co pośrednio do rozwoju i postępu się przyczynili, przychodząc w sukurs naturalnym korzystnym warunkom przyrzędami młynarskimi, umożliwiającymi i przerób zboża, i wyzyskanie najlepszej wydajności i jakości produktu mącznego.

Czem młynarstwo w rolnictwie, tem kamień młyński i inne maszyny pomocnicze w młynarstwie.

Któż nas, jadąc od Pragi ku żelaznemu mostowi, nie widział licznych zabudowań z skromnym napisem: **C. Skoryna?**

Założona w pamiętnym roku 1794, przetrwała do dziś, rozwijając się i służąc umiłowanemu zawodowi godnie.

Z nazwiskiem Skorynów związany jest postęp naszego młynarstwa. Przetrwała i klęsk i zawodów i przemian wiele, nie ustępując ani kroku z obranej drogi.

A droga ta nie była łatwa.

Początkowo przewroty, jakie kraj przechodził, następnie zrozumiała zresztą obojętność na wszelki postęp w dziedzinie przemian stawały na przeszkodzie. Młynarze krajowi kontentowali się odziedziczonym po dziadach i ojcach doświadczeniem i... przyrzędami.

Z biegiem czasu konserwatyzm ustąpił przed wymaganiami potrzeby rozwoju i postępu, wtedy

jednak spotkała się firma z groźnym rywalem—konkurencją niemiecką.

Ale i te przeszkody nie zraziły starej firmy. Po długoletnich wysiłkach, krok za krokiem wypierając towar obcy z rynków krajowych, ogarnęła ona dobrocią wszystkie kręgi młynarstwa polskiego, stając się jednocześnie omal generalnym dostawcą dla młynów Cesarstwa, nie wyłączając nawet Syberii.

Znana dziś powszechnie fabryka (Olszowa Nr. 14), zbudowana przed 17 laty na placach własnych nad Wisłą, stała się wkrótce rozsądnikiem postępu młynarskiego, odpowiadając wszelkim potrzebom chwili i racjonalnej w przerobie na mączne produkty przemianie. Poszczególne oddziały fabryki: kamieniarski, mechaniczny, maszynowy stanęły na wysokości zadania, do brze pojętego własnego i ogólnego interesu.

Zwłaszcza wyrób kamieni młynarskich doprowadzono wprost do nie mającej rywalizacji doskonałości.

A rzecz to była niełatwa. Kraj nasz, niestety, nie posiada dostatecznie dobrego materiału do wyrobu kamieni młynarskich. Kwartowego materiału nie ma wcale, piaskowcowy zaś nadto drobno-ziarnisty. W tych warunkach firma Skoryna prowadzi cały materiał surowy z zagranicy i u siebie poddaje go ulepszonym sposobom obróbki, wytwarzając powolnie znane z swej dobroci kamienie, większe piaskowe i twardsze kwarcowe, zwane francuskimi. Piaskowiec prowadzi firma z Śląska, z Czech i Saksonii, kwarcyt z jedyne go źródła z „La Ferté sous Jouarre” z Francji.

Szczytem udoskonalenia są tak zwane kamienie młyńskie **składane**, fabrykowane sztucznie z drobnych odłamków krzemienia i okruców, pozostałych z obróbki kamieni francuskich. Okrucy te, złączone chemicznie ze **ścierną** (szmerglem) w bryłę kamienną, co stanowi sekret fabryki, dają płaszczynę ostroziarnistą, pełną małych szczelin, wskutek czego nawet przy największym tarcu jest ona dostatecznie ostra i służyć może do ciągłego użytku. Z ogólnej rocznej produkcji kamieni młyńskich w fabryce Skoryny, wynoszącej do 1200 sztuk, znaczna część przypada właśnie na kamienie **składane**.

Dotychczas około 18000 kamieni wyrobu firmy Skoryna miele polskie i niepolskie zboże.

Imponujące to cyfry.

Niemniej imponująco przedstawia się dział maszyn pomocniczych w młynarstwie, jak wialnie, trieury do specjalnego oczyszczania zboża z chwastów, pyłu i kurzu.

Wybornym wynalazkiem firmy są tak zwane „WIALNIE” **trzywiatrowe**, w których ziarno wystawione jest na działalność trzech oddzielnych prądów powietrza.

W dalszym ciągu wialnie systemu „Eureka” i „Żubrówki” stanowią ostatni wyraz postępu na tem polu. Maszyny te spełniają zadanie podwójne, bo jednocześnie obtuskują ziarno z naskórka i jednocześnie obcinają końce ziarna, bez najmniejszego uszkodzenia tegoż, co zwiększa znakomicie wydajność. Płaszczyny szmerglowe w żubrówkach są tak dobre, że bez zmiany służyć mogą od 5—8 lat, a następnie dają się zastąpić bez trudności innemi.

Od lat kilku fabryka wyrabia i podstawy walcowe, z łożyskiem walców, zaopatrzonem w pierścienie samosmarujące, co wyklucza możliwość zagrzanienia się osi.

Jest to ostatni wyraz techniki. Niemniej znakomicie funkcjonują automatyczne i półautomatyczne sortownice, krajalnice, śrutownice i jagielniki cepowe do prosa.

Wyrób turbin systemu Francisa uzupełnia tę niezwykłą w swej intensywności i precyzji całość produkcji.

Nic więc dziwnego, że przy takim nakładzie pracy, wiedzy i kapitału, obroty fabryki dosięgły sumy 300,000 rb., a handlowe operacje ogarnęły nie tylko już Polskę i Cesarstwo, ale sięgnęły na Kaukaz, Syberję i dalej aż po Turkiestan. To też firma warszawska czuła się zmuszoną otworzyć szereg filii w Czelabińsku, Petropawłowsku i nad Donem.

To strona ekonomiczna.

A strona obywatelska — zupełna harmonia między pracownikami a fabryką, nie zakłócona nawet w tak nerwowych czasach nigdy i niczem. To także świadczy o trwałości podstaw, na jakich założona w r. 1794 fabryka Skoryny stoi. L. K.



Sosnowiec
(gub. Piotr.)
Telefon 258

Pierwsza w kraju fabryka
owstianych produktów od-
żywczych i kawy słodowej



Owsiana kasza zdrowia,
Owsiane kakao zdrowia,
Owsianka łafiana. Dozwolone przez Warsz. Urz. Lekarski za Nr 6230.

Zdrowe
! postnie

DLA CAŁUSA



jest stworzoną delikatną, czystą twarz o rumianym, młodociano-świeżym wyglądzie, białej, jak jedwab miękkiej skórze i osłepiająco-pięknej cerze bez piegów i skórnych nieczystości, używajcie zatem tylko prawdziwe Mydło z mleka liliowego „Konik“ wyrobu Bergmann & S^{KA}, Radebeul-Drezno. Dostać można wszędzie po 50 kop. za sztukę. Główny skład na Państwo Rosyjskie: Biuro chemicznych preparatów, St.-Petersburg, Newski 28, dom Singera.

PASTILLES DE **TAMAR INDIEN GRILLON** PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

Owoc przeczyszczający PRZECIW **OBSTRUKCYI**

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem 

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Nagrodzone złotymi medalami, a zalecane przez pp. doktorów i lekarzy-dentystów, eliksir, proszek i pastę

TYMENTOL

jako najlepsze środki do czyszczenia i konserwowania zębów, oraz odświeżania jamy ustnej, poleca **Centralne Laboratorium Chemiczne** (Czekaj i Krysiewicz) w Warszawie. Sprzedają w składach aptecznych.



L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23 (vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, ciepłe pantofle, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

Rynek głów. Ilnia AB róg ul. Floryańskiej
KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI
Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

Nagrodz. złotym medalem na wyst. przemysł.-zdrojowej w Ciechocinku

Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzcinowych **T. & W. Krakowscy**

Kantor: Warszawa, Nowogrodzka 36. Tel. 36.83


L. Lipiński (Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie, Wielki wybór brylantów, kolorowych kamieni i pereł oraz biżuterii złotej i srebrnej w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875

WYSTRZEGAĆ SIĘ PODRABIAŃ! NAŚLADOWCÓW SĄDOWNIE ŚCIGAĆ BĘDZIEMY!

PUDER IRIS

Subtelny Hygieniczny
Niedostrzegalnie Przylegający
Bezwzględnie Nieszkodliwy

Perfumerya „IRIS” H. Lachs i S-ka Skład fabr. Przejazd 1

Marka Fabryczna. 

PLYN **HEMOGEN MAGISTRA KLAVE** stosowany przy ogólnem osłabieniu, małokrwiistości, osł. nerwów i u rekonwalescent. każdego wieku. Uznany przez powagi lekarskie, jako **dzielny środek krwiotwórczy i pobudzający apetyt.** Wyrób laboratorium aptek Magistra Klawe, Warszawa, 10 Pl. Św. Aleksandra.

najracjonalniejszy preparat żelaza.

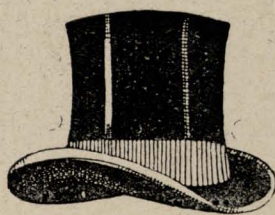
Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN **KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE** Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.



BIELIZNĘ MĘSKĄ

białą i kolorową z c. k. nadw. fabr. V. Suppaucic, poleca

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

W KRAKOWIE, ULICA SŁAWKOWSKA I. 3.



W. CYBULSKI i S-ka

Telefon 60-29

Warszawa, Nowo-Senatorską 7.

Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.



Wyprzedajemy z dawnych zapasów

5,000 gąsiork. wina węg.

wytrawnego, średniego lub słodkiego po wyjąkowej cenie rub. 1 kop. 20. Dostawa 15 gąsiorków franko.

Skład Win i Koniaku

Braci KEMPNERÓW

Długa Nr 5. Telefonu Nr 772.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE
ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 12

Dr. I. Wapiński ord. klin. szpitala świętego Łazarza Nowosenatorska 10. Telefon 942. Choroby skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia Marszałkowska III. Telefon 16.81.

LUDWIK SZUFA KRAWIEC KRAKOW TELEFON 671

Tow. Akc. Browaru **Haberbusch i Schiele** poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

ODPOWIEDZI.

Erwe. Próbką bardzo małą. Można tylko o niej powiedzieć, że rymy gramatyczne i pospolite, styl suchy i banalny.

Prenumerarorce T. R. „Causeries Florentines”; pierwsze wydanie — Paryż, 1880; przekład polski St. Tarnowskiego p. t. „Wieczory florenckie”. (Warszawa, 1881).

P. Eugenii Szuch. Żaden z nadesłanych wierszy nie stoi na wysokości naszych wymagań. Przeważnie—mozolne to rymowanie.

P. Marcelemu Barc. Przekładu noweli Schnitzlera nie zamieścimy; rękopis do zwrotu.

W. P. Stolecki. Najlepiej poinformują Sz. P. składy utensyliów artystycznych: J. Buroff (Nowy-Świat, 43), I. Wadowski (Marszałkowska, 121).

Pannychis. Ani w najbliższym numerze, ani w żadnym. To nie dla nas.

P. T. Ż. w Krakowie. Pierwszy przekład polski Moliera ukazał się w zbiorowym wydaniu komedii w r. 1847—1850 w Wilnie u T. Glücksberga w sześciu tomach (zapowiedziane tomy VII i VIII nie wyszły). Przekładu dokonał Franciszek Kowalski. Czy był grany w Warszawie, nie mogliśmy narazie zebrać informacji.